

W NUMERZE:

- „ZADYMA”
jak było w Toruniu
- BYTOMIACY
spod znaku Rodła
- Z FANTAZJĄ I POMYSŁEM
harcerstwo i kultura
- NA CO PÓJŚĆ DO KINA?
rozmowa z dr. Henrykiem Deptą

HANNA POLSAKIEWICZ

DOM NA SKARPIE

Stołeczny Dom Kultury Nauczyciela znam dobrze. Kilka lat temu znalazł w nim dach nad głową mój klub, więc bywam tam co tydzień. Takiej znajomości nie może zastąpić najwnikliwszy nawet świad reporterki. Niegołosiwnie więc stwierdzam, że jest to dom pełen życia.

Pod takim właśnie tytułem pisałam o nim w „Głosie” w 1979 roku, a nie była to jedyna poświęcona mu publikacja, bowiem różnorodność prowadzonej tu pracy kulturalnej aż prosiła się o popularyzację — co jakiś czas. Stołeczny Dom, położony tuż obok Zamku Królewskiego, na malowniczej, nadwiślańskiej skarpie, od lat zresztą miał „markę” placówki godnej naśladownictwa i to zarówno ze względu na bogactwo oferowanych form spędzania wolnego czasu, pogłębiania rozmaitych pasji i zamiłowań, jak i z uwagi na gospodarność.

Dom w dwóch trzecich finansuje się sam; nie obciąża więc nadmiernie budżetu oświaty. O tym, jak dyrekcja to realizuje, już kiedyś pisałam. Wspomnę więc tylko krótko, że na to, co dzieje się tu po południu zarabia się przed południem. Poprzez organizowanie różnych konferencji, imprez, spotkań — uzyskuje się środki na utrzymanie i dofinansowanie działających tu klubów, zespołów, biblioteki itp. Dziś jednak chodzi mi o zgoła inny problem: o sprawę uczestnictwa nauczycieli w oferowanej im kulturze.

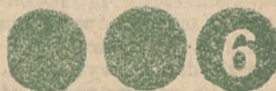
Obliczono, że dziennie przychodzi do Stołecznego Domu średnio 450—500 ludzi. Celowo nie napisałam: nauczycieli, bo jakkolwiek stanowią oni spory procent stałych i doraźnych bywalców, nie są jednak wyłącznymi użytkownikami gmachu. Ideą dyrektora, Stefana Cellińskiego było stworzenie nie kolejnej „pedagogicznej

enklawy”, lecz — „domu otwartego”. Miejsca interesujących spotkań pedagogów z innymi środowiskami zawodowymi, lo-cum, w którym można pogwarzyć o różnorodnych sprawach, wymienić poglądy, oderwać się od problemów szkolnych. Wszystko to pomyślane jednak zostało tak, aby zapewnić nauczycielom należne im pierwszeństwo w ich domu. Oni to przede wszystkim mają prawo uczestniczyć w każdym klubie czy zespole, a w drugiej dopiero kolejności uzyskują miejsca przedstawicieli innych zawodów. W tej sytuacji wydawać by się mogło, że pedagodzy stanowią większość w każdej z kilkunastu działających w domu grup.

A jednak nie. Jedyne w chórach domują. No i jeszcze w Klubie Literatów i Plastyków jest ich dostateczna liczba, aby stworzyć pełny zespół, ale i tam znaczą się brak dopływu nauczycieli młodych. I jakkolwiek obydwie kluby dobrze działają, to z pewnością przydałoby się im także nowi członkowie, wnoszący nowe pomysły, nowe spojrzenie na sztukę. W pozostałych klubach jest nauczycieli zdecydowana mniejszość.

Zaznaczyć przy tym wypada, że do owej średniej liczby około 500 bywalców dziennie w Stołecznym Domu wlicza się także uczestników organizowanych tu konferencji nauczycielskich, zebrań, spotkań, a również i tych, którzy przychodzą tylko do kawiarni lub nastrojowej winiarni, ewentualnie na dyskoteki. Nie uczestniczą natomiast w organizowanych tu zajęciach dających szansę realizacji twórczych pasji.

A jest w czym wybierać. Każdego dnia



Do Stołecznego Domu Kultury Nauczyciela przychodził dziennie czterysta-pięćset osób
Fot. Cz Górski

SWOJO WŚRÓD SWOICH

O podmiotowości ucznia w szkolnej edukacji można usłyszeć na każdym zebraniu rady pedagogicznej, gdy tylko zahacza się o metody pracy; można przeczytać tomy literatury naukowej, które ów temat w ostatnich dziesięcioleciach podnosiły. A w praktyce jak jej nie było, tak nie ma, chociaż tu i ówdzie próbowano coś niecoś w tym względzie czynić — na zasadzie eksperymentalnych zrywów. Ale jak zwykle u nas bywa, zabrakło ciągłości obserwacji wyników i ich syntezy, która uzasadniałaby celowość przedsięwzięcia.

Resortowy projekt programu wychowania, w którym rozdział VII traktuje o samorządnej działalności uczniów prowokuje

do ponownego spojrzenia na problem. Prowokuje do refleksji: dlaczego nam ta podmiotowość nie wychodzi w skali całej oświaty? W czym tkwi błąd: czy w samych założeniach, czy w braku warunków do realizacji tej idei? Słowem — czy jest w naszej szkole miejsce na podmiotowe traktowanie ucznia, na podmiotową samorządność uczniowską?

O sprawach tych rozmawiamy z drem PIOTREM NOMAŃCZUKIEM, autorem koncepcji szkoły uczniowskiej samorządności i zorganizowanej współpracy, której ze zmiennym szczęściem próbuje patronować już od 12 lat w kilku placówkach na terenie kraju.



Dr Piotr Nomańczuk jest współpracownikiem naukowym Samodzielnego Zakładu Aksjologii Pedagogicznej przy Instytucie Badań nad Młodzieżą.

— Dlaczego Pana zdaniem idea podmiotowości ucznia, tak ważna w nauczaniu, a szczególnie wychowaniu, nie może sobie zdobyć u nas prawa obywatelstwa w praktyce? Bo w zapisach figuruje od lat.

— A czy w życiu społeczeństwa jest ona respektowana? Szkoła wszak stanowi jego część. Toteż potrafimy przy różnych okazjach pięknie mówić o uznaniu w uczniu partnera, ale gdy przychodzi co do czego...

— No właśnie, unik i za rękę, albo rozstawianie po kątach. To wielkiego wysiłku nie wymaga. Dziecko małe, oporu na ogół nie stawia, nawet gdy mocnym uściskiem dokonujemy gwałtu na jego psychice.

— Toteż chętnie zasłania się stwierdzeniem: jak dorodnie, przyjdzie czas i na partnerstwo. Ale żeby było w zgodzie z zapisem: „działalnością samorządową powinni być objęci wszyscy uczniowie w szkole; a każdy z nich mieć określone zadania i obowiązki wobec społeczności uczniowskiej i szkoły” — tworzymy samorząd szkolny, klasowy... w charakterze chłopca



LEKCJA POKAZOWA

Byłem jednym z uczestników spotkania wicepremiera Mieczysława F. Rakowskiego z korespondentami, a także autorami listów do premiera Wojciecha Jaruzelskiego. Dwuczęściowe audycje radiowe i sprawozdania telewizyjne przybliżyły społeczeństwu polskiemu w sposób dalece zobiektywizowany przebieg spotkania. Brak w radiu i telewizji kilku wypowiedzi (autorzy nie życzyli sobie nagrywania i filmowania), a także „obcięcie” kilku innych nie deformuje klimatu i tematyki owej społecznej konfrontacji poglądów i spojrzeń na najtrudniejsze problemy rzeczywistości polskiej ostatnich kilkunastu miesięcy i chwili bieżącej. Wobec powszechnego spopularyzowania przebiegu spotkania, jego treści, nie ma zapewne sensu szczegółowe relacjonowanie i komentowanie tego, co się wtedy mówiło. Spróbuję natomiast sformułować trochę uwag i wniosków na temat — jak się dyskutowało 6 listopada w URM.

Myśli, które przekazywano z sali wicepremierowi, były różnorodne, kontrowersyjne, często zabarwione zalem, pretensjami, niekiedy i oskarżeniem. Zdarzało się, że emocje brały górę nad racjonalistycznym traktowaniem poruszanych problemów. Tak zwykle bywa, gdy się dyskutuje spontanicznie i szczerze, gdy prowadzący dyskusję umie stworzyć klimat zaufania, gdy spotkania nie są a priori reżyserowane i retuszowane.

Scenariusz dyskusji improwizowany był tam, na sali, choć tematyka wypowiedzi legła się dłużej w polskich domach, zakładach pracy, w biurach i szkołach, na wyższych uczelniach, w środowiskach twórczych, w rozmowach emerytów, a także na miejscu.

W tym nawarstwieniu, w mieszaninie spraw, bolączek, obaw i nadziei, w krzyżujących się różnicach światopoglądowych i politycznych, w piętrzących się emocjach, nawet objawach nieufności — w miarę upływu czasu coraz wyraźniej widać było autentycznie partnerski układ między stronami spotkania. Ostrzejsze wypowiedzi były — po chwili refleksji — puentowane słowami przeproszenia. Szacunek wobec gospodarza i vice versa — wobec gości wicepremiera zdecydowanie dominował nad autorytetem dystansu.

Przebieg i sposób prowadzenia rozmowy w Urzędzie Rady Ministrów był — poza swymi wartościami merytorycznymi i uczuciowymi — lekcją demokracji i partnerstwa. Tak właśnie jawią się kontakty służbowe w hierarchii zwierzchnik — podwładny i odwrotnie wśród pracowników zakładu pracy, usytuowanych na podobnych, równorzędnych stanowiskach.

Podobne układy w rozstrzygnięciu spraw spornych (przy zgodności poglądów dotyczących problemów prymarnych) i dochodzeniu do porozumienia na pewno nie przeszkadzają wymogom dyscypliny, udzielaniu reprimendy, również w wyciąganiu konsekwencji służbowych. I — jak udowodnił wicepremier i jego goście — nie spadnie nikomu korona z głowy, jeśli się przeprosi za zbyt ostre słowa lub przesadnie ostry ton wypowiedzi. Staje się to natomiast wykładnikiem kultury dyskusji i poszanowania drugiej strony.

Pożądane by było z wielu względów, gdyby ta pokazowa, ale nie wyreżyserowana, lekcja dyskusyjna i poszukiwania wspólnego mianownika dla różnych poglądów, która odbyła się z inicjatywy wicepremiera M.F. Rakowskiego, znalazła wielu chętnych naśladowców; szczególnie wśród tych, co do tej pory bardziej holdowali autorytetowi służbowych poleceń i nakazów. Także i u nas, w szkolnictwie: na linii nauczyciel — uczniowie (ci starsi) i zwierzchność szkolna — nauczyciele. Wszak nie jest ujmą ni wstydem korzystanie z dobrych wzorów, nawet kiedy się piastuje wyższe stanowisko. Uwzględniwszy tylko trzeba modyfikacje, związane z organizmem szkoły i jej zarządzaniem. Muszą też być spełnione pewne warunki, jeśli się chce kształtować naprawdę partnerskie stosunki międzyludzkie. Zapewne najważniejsze z tych warunków, to osobista kultura, wiedza i autentyczne kompetencje oraz trochę ufności w stosunku do ludzi. Same dobre chęci na pewno nie wystarczą.

EDWARD KLEIN
Dukla

Bez obawy o przesadę można stwierdzić, że do najbardziej poczytnych lektur należą teraz komunikaty GUS o sytuacji gospodarczej kraju. Po prostu chcemy wiedzieć, na czym stoimy dziś i na czym stać będziemy w najbliższej przyszłości. Trzeba też przyznać, że władza nie skąpi nam tej wiedzy. Właśnie w połowie listopada ukazała się kolejna informacja gusowska tym razem o wynikach gospodarki w październiku i trzech kwartałach tego roku.

Zbędne wydaje się powtarzanie za komunikatem GUS wszystkich danych liczbowych. Kilka jednak liczb i wniosków z nich wynikających warto odnotować.

Otóż październik jest już trzecim kolejnym miesiącem, kiedy produkcja przemysłowa była wyższa niż w analogicznych okresach ubiegłego roku; w tymże październiku nastąpił wzrost produkcji o 5 proc. w porównaniu do tego samego miesiąca sprzed roku. Przy czym wzrost ten osiągnięto przy zmniejszonym zatrudnieniu (a zatem zaczyna wzrastać wydajność pracy).

Można więc już mówić o pewnej utrwalającej się tendencji stopniowego odbijania się od dna, wciąż jednakże pomietając o skali porównawczej. Gdy bowiem porównać wyniki tegorocznych 10 miesięcy do sytuacji sprzed kryzysu, to okazują się one gorsze o 16 proc. Co więcej sprzedaż detaliczna w październiku br. — w cenach porównywalnych — była mniejsza o około 14 proc. (w tym żywności o 13 proc., a towarów nieżywnościowych aż o 23 proc.) niż w październiku ubiegłego roku. Wzrosła tylko sprzedaż alkoholu (o około 3 proc.). Ale to przecież nie powód do radości.

Jednocześnie znacznie wzrosły płace. Przeciętna płaca, wraz z rekompensatami pracowniczymi (bez rekompensat rodzinnych) w podstawowych działach — tj. przemysłu, budownictwie, transporcie, łączności i handlu — wynosiła w październiku 12 073 zł. Wzrosła więc w porównaniu z październikiem ub. r. o 4 034 zł, tj. o 50,2 proc. Cieszy to, oczywiście, Kowalskiego i Malinowskiego, którym dzięki podwyżce łatwiej wiązać koniec z końcem. Ale w skali makro budzić musi niepokój. Ponownie rozwierają się bowiem nożyce między strumieniem pieniędzy a pokryciem w to-

PO DZIESIĘCIU MIESIĄCACH

warach. Cenowe barierki czyli podwyżki cen nie zdają egzaminu; powodują — jak wykazała praktyka — dalsze podwyżki płac, nieuzasadnione wzrostem wydajności pracy. Tylko co to da? Wszak jedyną drogą do poprawy sytuacji jest wzrost produkcji i proporcjonalnej do tego wzrostu podwyżki płac. W przeciwnym razie grozi nam powrót do punktu wyjściowego — klasyczna inflacyjna.

Rosnące szybko płace nie oznaczają, oczywiście, wzrostu stopy życiowej. W wyniku bowiem przeprowadzonych od października ub. r. do września br. podwyżek cen detalicznych żywności, napojów alkoholowych, artykułów przemysłowych i usług — koszty utrzymania w trzech kwartałach br. wzrosły w porównaniu do ub. r. od około 104 proc. w rodzinach pracowników zatrudnionych w gospodarce uspołecznionej do 114 proc. w rodzinach emeryckich. Tak więc wzrost kosztów utrzymania nie został zrekompensowany, przez wzrost dochodów ludności, bowiem — jak już wspomnieliśmy — dochody pieniężne rodzin pracowniczych zatrudnionych w gospodarce uspołecznionej wzrosły o około 50 proc. Wynika z tego, że realne dochody tych rodzin zmniejszyły się o około 28 proc.

Wydawałoby się więc, że z punktu widzenia gospodarki nie ma powodu do niepokoju, skoro podwyżki płac nie doganiają podwyżek cen. Rzecz jednak w tym, że płace rosną w szybkim tempie, podczas gdy z masą towarową jest inaczej. Jak bowiem wynika z komunikatu GUS — sytuacja na rynku towarów żywnościowych nie uległa w październiku br. istotnym zmianom. To znaczy było ich tyle, że starczyło na pokrycie zapotrzebowania wynikają-

cego z kartek żywnościowych. Trudno jednak uznać, iż normy zapotrzebowania są zgodne z autentycznym zapotrzebowaniem. Również zaopatrzenie rynku w towary nieżywnościowe — nie uległo zasadniczej poprawie. Wiemy to zresztą z autopsji. Wciąż po rajstopy, skarpety, garnki ustawiają się gigantyczne kolejki. Zdobyć bielizny pościelowej, kawałka materiału równa się wygranej w totolotka. I pod tym względem nic nie zmienia się na lepsze.

Niepokój budzić musi również sytuacja w rolnictwie, a zwłaszcza w dziedzinie hodowli. Wprawdzie skup żywca rzeźnego był w październiku o 19,8 proc. wyższy niż w tym samym miesiącu ubiegłego roku, ale jednocześnie według stanu na koniec III kwartału zmniejszyło się w porównaniu do analogicznego okresu ub. r. pogłowienie o 1,1 proc., a trzody chlewnej o 2,2 proc. Nie rokuje to dobrze na najbliższą przyszłość, jeśli tendencja ta nie zostanie zahamowana.

Wręcz źle przedstawia się sytuacja w dziedzinie budowlano-montażowej. Wystarczy wspomnieć, że w okresie styczeń-październik produkcja podstawowa była o 12,8 proc. mniejsza niż w analogicznym okresie ubiegłego roku i aż o 34,6 proc. mniejsza niż w 1979 roku. W sumie w ciągu trzech kwartałów wykonano 26,1 proc. i tak przecież skromnych zadań rocznych. W tym samym czasie uspołecznione budownictwo mieszkaniowe przekazało o 21,4 proc. mniej mieszkań niż w analogicznym okresie ub. r. Przy czym zadania roczne określone w programie rządowym pozostały zrealizowane zaledwie w 57,9 proc. Czym tłumaczyć ten niedowład, jeśli zwążyć, że przecież potencjał budowlany istnieje, a planowe zadania inwestycyjne są i tak znacznie ograniczone?

Wszystko wskazuje na to, że — jak dotychczas — reforma zatrzymuje się u progu tej właśnie dziedziny gospodarki. Ze tu nie zostały sobie prawa obywatelstwa mechanizmy, które by pozwoliły odbić się od dna. Przeciwnie, notujemy dalszy regres. A przecież obok wyżywienia, dach nad głową należy do podstawowych potrzeb każdej rodziny. Dziś już czekamy na własne M-3 po kilkanaście lat. Co będzie dalej? Nad tym pytaniem władza nie może przejść obojętnie. (Dch.)

W RESORCIE OŚWIATY I WYCHOWANIA

W środę 17 października br. odbyła się w resorcie oświaty i wychowania uroczystość pożegnania wiceministra — dr. Jerzego Wojciechowskiego, który przechodził do nowej pracy w resorcie spraw zagranicznych oraz powitanie nowego wiceministra — mgr. Wacława Kuppera.

Minister Bolesław Faron, oceniając pracę Jerzego Wojciechowskiego, powiedział między innymi: przypało mu pracować w naszym resorcie w okresie niezwykle trudnym, kiedy to różni ludzie próbowali podważać dorobek polskiej oświaty, dążyli do wzniecania niepokojów w szkołach, strajków i demonstracji, pragnąc za wszelką cenę realizować swoje antysocja-

listyczne koncepcje w wychowaniu. Tym koncepcjom i dążeniom przedstawialiśmy nasze racje, które zresztą poparła zdecydowana większość nauczycieli... Mówię dziś o tym dlatego, iż Jerzy Wojciechowski był tym spośród nas, który w pierwszej kolejności — jako że odpowiadał między innymi za współpracę ze związkami zawodowymi — zapoznawał innych z naszymi resortowymi racjami, opiniami i poglądami w kwestiach dla oświaty, szkoły i wychowania najważniejszych. W tym dialogu był konsekwentny i stanowczy, zdobywając sobie uznanie i szacunek nie tylko wśród nas... Pragnę życzyć Jerzemu Wojciechowskiemu wielu dalszych osiągnięć i sukcesów w służbie dla kraju...

ŚWIAT

MADRYCKIE SPOTKANIE

W tym tygodniu przystąpią do polityki administracji Ronald Reagana.

Celowo odbiegam może od głównego tematu, jakim jest spotkanie w Madrycie. Z polityką z pozycji siły — to chcą z całą mocą podkreślić — amerykańskiej administracji stykamy się nie od dziś. Stany Zjednoczone nie kryją tego wcale, a wręcz przeciwnie; podkreślają stale, że jest to najlepsza metoda prowadzenia polityki nie tylko wobec państw wspólnoty socjalistycznej, ale wręcz całego świata. Spójrzmy tylko na niedawną podróż Gaspara Weinbergera po krajach ASEAN, Australii i Nowej Zelandii, czy „safari” Georg’a Busha w Afryce.

Z realizacją tej linii polityki amerykańskiej będziemy spotykać się i w Madrycie; zapowiedział to wcześniej szef delegacji USA, Max Kampelman. Oświadczył on bez ogródek, że Stany Zjednoczone nie oczekują żadnych pozytywnych zmian, wobec czego delegacja amerykańska będzie występować w podobny sposób, jak na lutowo-marcowej sesji. Wtedy — jak wiadomo, usiłowała przekształcić pokojowe forum w trybunę oskarżeń wnoszonych przeciwko Polsce oraz Związkowi Radzieckiemu.

Czym więc się zajmują przedstawiciele 35 państw? Główną sprawą jest przyjęcie decyzji o zwołaniu konferencji dotyczącej budowy środków zaufania i bezpieczeństwa oraz rozbrojenia w Europie, a także określenie jej dalszego mandatu. W tych kwestiach kraje socjalistyczne wyszły z wieloma propozycjami, a ZSRR zaproponował rozciągnięcie strefy bezpieczeństwa na całe swe europejskie terytorium. Większość państw zachodnioeuropejskich zainteresowana jest kontynuowaniem dialogu na naszym kontynencie, kra-

Minister Bolesław Faron przedstawił również nowego wiceministra oświaty i wychowania — mgr. Wacława Kuppera. Jest on znany w środowisku nauczycielskim. W latach 1950—64 pracował w szkołach ogólnokształcących i zawodowych w Leborgu. Od 1964 roku był podinspektorem, a następnie zastępcą inspektora i inspektorem szkolnym w byłym powiecie leborgskim. W latach 1975—78 był wicekuratorem w województwie śląskim, a od 1978 roku pełnił funkcję naczelnika miasta Leborga. Jest członkiem SD. Życzę mu wszelkiej pomyślności na nowym odpowiedzialnym stanowisku...

Następnie minister Bolesław Faron — udekorował Jerzego Wojciechowskiego — przyznany mu przez Radę Państwa — Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. (ZP)

Je niezaangażowane już w ubiegłym roku przedłożyły projekt porozumienia końcowego, który jest faktycznie w 80 procentach uzgodniony.

Już pierwszy dzień spotkania pokazał, że dyskusje będą zacięte. Kraje socjalistyczne zapowiedziały, że ich zdaniem postęp w Madrycie z pewnością pozytywnie wpłynie na sytuację międzynarodową, ale istnieją obawy, pogorszenia sytuacji i tak już bardzo napiętej.

Na te kwestie zwracał uwagę przedstawiciel Polski, wiceminister spraw zagranicznych Józef Wiejacz. Kilku fragmentom jego wystąpienia chciałbym poświęcić trochę uwagi. Stwierdził on, że: „szybkie zakończenie prac nad uzgodnieniem zrównoważonego i merytorycznego dokumentu końcowego byłoby istotnym wkładem w uzdrowienie stosunków między Wschodem a Zachodem”.

Józef Wiejacz przypomniał też, że od wielu miesięcy usiłuje się obciążyć nasz kraj odpowiedzialnością za pogorszenie sytuacji międzynarodowej. „Czas najwyższy — mówił reprezentant naszego kraju — aby powiedzied jasno i wyraźnie: to nie sytuacja w Polsce jest źródłem trudności, jakie już od lat występują w procesie KBWE. Prawdą jest natomiast to, że niektóre kraje NATO, a w szczególności Stany Zjednoczone, starają się wykorzystywać polskie problemy wewnętrzne do zwiększenia napięcia międzynarodowego”.

Wiceminister przypomniał, że polityka administracji Reagana prowadzi do łamania dwustronnych i wielostronnych porozumień, przykładem tego są nie tylko decyzje w sprawie cofnięcia klauzuli najwyższego uprzywilejowania, ale prowadzenie polityki ingerencji w wewnętrzne sprawy innych krajów. Tego zaś zabrania Akt Końcowy z Helsinek.

Wydaje mi się, że nie można zbyt optymistycznie zapatrywać się na przebieg spotkania, choć optymizm byłby jak najbardziej pożądany. Wolałbym być wyposażony o czarnowidztwo, a nie o naiwność polityczną i brak zrozumienia polityki międzynarodowej. Niestety, naiwność i ignorancja — mogliśmy to oglądać niedawno w telewizji — nie jest wcale zjawiskiem rzadkim w naszym kraju.

LECH KĄTOCH

Właśnie światła się już spali. Późno było. Ale światło zgasiliśmy w pokoju w imię naszej studenckiej solidarności. Zresztą nie można było zrobić inaczej. Ludzie gasili światła, wychodzili na korytarze, do kuchni, łazienek. Poszliśmy ze wszystkimi (Andrzej — Wydział Humanistyczny).

— Niczego się nie spodziewaliśmy. Dzień był normalny. Nic takiego szczególnego w akademiku nie zdarzyło się. Wychodziłam do łazienki, kiedy usłyszałam ten dźwięk. Wydawało się, że to deszcz pada. Dopiero po chwili zorientowałam się, że to nie deszcz. Gośka! — zawołałam — chodź tutaj, coś się niedobrego dzieje (Elwira).

W ciągu następnych pięćdziesięciu minut osiedle studenckie A Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu przypominało huczący ul. Zaplanowana pierwotnie na cicho studencka demonstracja przekształciła się w gwałtowny rozgardiasz. Z okien łazienek, klatek schodowych wyrzucano palące się gazety, pod adresem apelujących o rozwagę i spokój polecały obraźliwe epitety. Z minuty na minutę sytuacja stawała się coraz bardziej dramatyczna. Nikt właściwie nie miał pojęcia, jak to się może skończyć. I kto się w to jeszcze włączy.

10 listopada, mimo ulotek, jakie pojawiły się na uczelni i w osiedlu studenckim, praktycznie był cichy i spokojny. Około 22.00 w DS nr 2 i 5 zgaszono światła, gdzieś tam postawiono świeczki w oknach. Trwało to jednak tylko około 15 minut. Przebywającemu na terenie osiedla rektorowi udało się wówczas przekonać mieszkańców o potrzebie rozwagi. Ale w czwartek, 11 listopada, wydarzenia przybrały całkiem inny obrót.

Na domiar złego, w tym dniu w pobliskim sklepie przy Moniuszki pokazało się piwo. Dostawa była wyjątkowo duża.

— Ludzie kupowali zdaje się już od drugiej, a osobiście widziałem noszących to piwo do akademików jeszcze o piątej po południu. Niektórzy mieli w torbach po trzydzieści butelek na raz. Nie mam pojęcia, jak tyle kupili, ale faktem jest, że nieśli. Widziałem to na własne oczy.

— Ale czy byli pijani? Później, wieczorem.

— Owszem, byli, ale nie tak znów wszyscy. W „piątce” pili bardzo mało, w „trójce” prawie nikt. Najwięcej pijących i pijanych było w „jedynce” i „dwójce”. Zresztą nie o to chodzi, czy byli pijani i jak pijani. Wie pan, jak to jest. Wystarczy dwa piwa, aby się zmienił nastrój, żeby się człowiek poczuł trochę mocniejszy. Tym bardziej jeśli jest się w grupie i wszyscy robią to samo. Wtedy przychodzi zadyma, na ludzi taka mogła opadać, że po prostu się nie myśli. A jeśli, to tylko, że jest, że dzieje się „coś”. (Marek).

Rozpoczął DS nr 2 i 1. Stamtąd około dziesiątej wieczorem krzyczano przez okna: „gasić światła”, tam rozpoczęło się granie na parapetach. Głównie rękoma, ale potem czym się dało. Hałas zaciekawił innych. Wyglądali z okien, przyglądali się. Zachęcano do tego okrzykami, niektórych doprowadzano „do porządku” pokrzykiwaniami: „zgasz światło k...” Z DS nr 2 i 5 a potem także i demonstracyjnie wyrzucano płonące gazety.

Po dwudziestej drugiej na teren osiedla przyjechał rektor UMK, prof. Jan Kopcewicz wraz z prorektorami, dziekanami wydziałów, opiekunami domów studenckich. Pierwsza myśl — apel o spokój przez głośniki radiowęzła — po namyśle została przełożona na później. W dziesięć minut potem było już... za późno. Zgromadzeni w oknach studenci obrzucili władze uczelni niewybrednymi wyzwiskami, epitet „kolaborant” należał do łagodnych. Dwadzieścia minut później z okna korytarza DS nr 2 rzucono w kierunku samochodu rektora butelkę. Biały rektorski polonez zachowywał się ponoć bardzo podejrzanie...

Nie powiodła się kolejna próba uspokojenia młodzieży.

— Rektor stał wraz z innymi na dworze. Próbował krzyczeć do ludzi, że to nie ma sensu i żeby przestali. Chciał choć w ten sposób jeszcze przemówić do rozsądku. Ale to było niemożliwe. W hałasie nawet ci bardziej rozsądni nie mogli niczego zrobić. Nawet nie było słychać, co on mówi. (Janusz).

— Butelka wcale nie była rzucona w rektora. Tam, za polonezem, jechał inny samochód. Kolega nawet powiedział do mnie: — popatrz stary, już są. Potem słyszałem, że to w ten drugi samochód ktoś celował, ale nie trafił. (Adam).

Inna wersja wydarzenia z butelką głosi, że oczywiście chodziło o poloneza. Zachowywał się zbyt dziwnie. Podjeżdżał, cofał się, zapalał raz długie, raz krótkie

światła. Dla wielu było to mocne podejrzenie. Ktoś powiedział, że pewnie daje sygnały tym, którzy na takie znaki tylko czekają...

Wszystko to rozstrzygało się w ciszy na czerwonej ulicy w centrum miasta. Od początku minęło zaledwie trzydzieści minut. W okolicznych domach ludzie wyglądają przez okna. Jest sensacja.

Parę minut po pół do jedenastej radiowęzeł nadaje komunikat. Praktycznie jest to jeszcze jeden apel władz uczelni. Komunikat liczy zaledwie kilka zdań. „Zostaliśmy upoważnieni przez JM Rektora — czyta student, pracownik radiowęzła osiedlowego — do ogłoszenia bardzo ważnego komunikatu. W tej chwili sytuacja na terenie osiedla centrum jest niezwykle poważna. Władze rektorskie, które przebywają na terenie miasteczka, obawiają się utraty kontroli nad rozwojem sytuacji. Dalsze przeciąganie protestu grozi pacyfikacją przy użyciu sił porządkowych. Apleujemy o rozwagę w imię dobra naszej uczelni”.

Dziesięć minut po odczytaniu tego komunikatu osiedle cichnie. Jedynie na trzecim piętrze DS 2 w jednej z toalet gromadzą się jeszcze studenci. Dochodzi tutaj do niesmacznej formy demonstracji. Następnego dnia właśnie to pomieszczenie będzie przyczyną wkroczenia do Domu pracowników SB. Nie będzie to jednak interwencja. Póki co udokumentowanie wydarzeń, które wczoraj w tym miejscu, na tym piętrze dokonały się. Czynów niewiele mających wspólnego ani z kulturą polityczną, ani z kulturą w ogóle.

musia tak samo jak prawników, którzy to wszystko zasędzi, gorzej nawet, bo to oni dostaną mój pokój, mają „dwójkę”, na którą z koleżanką czekałyśmy dwa lata. (Anna, trzeci rok).

Ta opinia nie jest ad hoc. Tak uważa wielu mieszkańców osiedla „A”. Słyszę też zdania, że szkoda, iż nie słapano za rękę tych, którzy szumieć najwięcej. To oni powinni się przemieszczać. Ale mówią szersze, nie są to opinie częste. Ani tym bardziej głośno artykułowane. Cóż, i tak bywa...

Prorektor ds. spraw nauczania, doc. dr hab. Ryszard Łaszewski, przewodniczący senackiej komisji ds. weryfikacji skierowań do akademików osiedla „A”, uważa, iż dni rektorskie spełniły swoją rolę. W gruncie rzeczy chodziło o załatwienie trzech spraw. Po pierwsze, o niedopuszczenie do dalszej demonstracji, po drugie, zniesienie zasady wydziałowości DS, po trzecie, o koedukację. Dni rektorskie to był czas na dokonanie przemieszczeń, zmian. Ale faktem jest, że problem jednak zostaje, że przemieszczanie studentów wydziału prawa i administracji ze studentami innych wydziałów nie daje takich gwarancji, iż prawnicy przestaną odgrywać rolę tych, od których zawsze wszystko się zaczyna.

JAK BYŁO W TORUNIU

„ZADYMA”

WOJCIECH SIERAKOWSKI

Dwunastego listopada rektor wprowadził w całej uczelni dla studentów stacjonarnych dni rektorskie. Tego samego dnia Prokuratura Rejonowa w Toruniu wszczęła w sprawie wydarzeń w osiedlu „A” postępowanie przygotowawcze. Tego dnia milicja zatrzymała kilkunastu studentów. Po złożeniu wyjaśnień zostali zwolnieni. Do końca dni rektorskich jeden ze studentów nie został aresztowany.

Najbardziej ucierpiał dziewczyny z DS 6. Miały najlepsze pokoje w najlepszym akademiku. Teraz przenoszą się do DS 2, do pokoi trzy- i czteroo osobowych. Ich akademik był zadbane, ten nowy jest fatalny. Diabli wzięli plany jeszcze sprzed tygodnia.

— W piątek okazało się, że są dni rektorskie i przygotowania do przekwaterowania. Do Torunia wróciliśmy z domów wczoraj, siedemnastego. Dział od rana chodzimy między dziekanatem a akademikiem. O pół do dziewiątej rano zajęliśmy kolejną w DS 2 i czekamy na sakwaterowanie. (Małgorzata).

Dziś, osiemnastego listopada w osiedlu „A” jest już spokój. Ruch jednak panuje niezwykle. Przeprowadzki, przymiarki do nowych pokoi, twarzą. Kolejki po pościel. Tak będzie do późnych godzin wieczornych. To są najbardziej widoczne rezultaty zmian, jakie przyniosły dni rektorskie. Zniesienie wydziałowości akademików boli jednak mniej, niż zniesienie przy tej okazji także koedukacji.

— To jest kara, nie ma co do tego wątpliwości. Tylko, że nie w gruncie rzeczy nie zmienia. Myślę, że nawet pogorszy sytuację w Domu. Dziewczyny bardziej dbały o swoje korytarze, piętra, pilnowały czystości. Przy dziewczynach niezręcznie było kląć i rzucać „miegiem”, jak od nie wypadało. Teraz słońce ostatnie bariery (Andrzej — Wydział Humanistyczny).

— Nie jestem za demonstracjami i nie brałam w nich udziału, a potraktowano

— DS 2 zawsze był pod pretekstem, dlatego, że był domem właśnie tego wydziału. Prawnicy rozpoczynali demonstracje w kwietniu, w maju, prawnicy rozpoczęli również i tym razem. Taki stan nie mógł długo trwać. Rozwiązaniem może nie najlepszym, ale jednak rozwiązaniem było zniesienie wydziałowości domów studenckich.

W opinii prorektora dziewczęta nie powinny tak bardzo narzekać. Generalnie będą mieszkać w trzech domach, w rozszerzeniu, czyli im warunki powinny się poprawić. Owszem, są pokoje czteroosobowe, ale to wcale nie znaczy, że będą w nich mieszkać cztery studentki. Wprost przeciwnie, wiele wskazuje na to, że „czwórki” zamienione będą na „trójki”.

Doc. Łaszewski wyjaśnia przy okazji sprawę eksternatu studentów pozbawionych do końca roku akademickiego prawa mieszkania w DS. Pięciu słuchaczy wydziału prawa właściwie od początku nie powinno otrzymać miejsca. Ten błąd, mówi prorektor, został przy tej okazji naprawiony. Pozostałym dziewczętom, opuszczając zgodnie z zarządzeniem rektora pokoje, pozostawiono w nich rażąco bałagan. Trzech z nich w dodatku kilka tygodni temu przenocowało w swoim pokoju gościa z zewnątrz, „waleta”, który ponadto okazał się słodziejem. Oprócz tych eksternatu osób, nikt inny nie stracił miejsca w DS. Co więcej — wyjaśnia prorektor — osoby te nie utraciły na zawsze prawa ubiegania się o akademik. Mogą to uczynić w przyszłym roku akademickim. I wcale nie jest wykluczone, że nie otrzymają tych miejsc.

Prorektor Ryszard Łaszewski ostatnio ma nadzwyczaj gorące dni. Po pierwsze, sprawy studenckie, po drugie, dziennikarskie. W UMK zjawili się w ciągu dwóch dni dziennikarze z „Polityki”, „Itd”, „Razem”, „Sztandaru Młodych”, „Tu i Teraz”, „Trybuny Ludu”. Jest warszawski korespondent Newsweeka, na jutro zapowiedziano

te są radio. Pytania są te same — czy rzeczywiście były to tylko chuligańskie zamieszki, czy naprawdę potrzebne były dni rektorskie, po co te zmiany. No i co dalej z tym fantem zamierzają uczynić władze uczelni? Jakże wnioski wyciągnie dla siebie młodzież? Bo dla wszystkich jest jasne, że problem bynajmniej nie został rozwiązany do końca.

— Ten facet wykreślił nam taki numer, że cholera człowieka bierze. Zrobił z nas wszystkich chuliganów, jak leci. A prawda leży po środku. Ja myślę, że wszystko to bierze się stąd, że Toruń to taka dziura, gdzie każdy każdemu patrzy na ręce. I byle co stawia wszystkim na nogi. Prowincja. I dlatego u nas nie przechodzi to, co przejdzie bez rozgłosu w Krakowie czy w Warszawie (Adam).

Wszyscy doskonale wiedzą, że to co się działo, nie sprowadzało się do samego chuliganstwa.

— Ale byli pijani, była butelka rzucona w samochód rektora, były mało cenzuralne okrzyki pod adresem władz uczelni. To nie jest chuliganstwo?

— Prawda, to wszystko było, ale nie takie masowe. Poza tym w takich spontanicznych działaniach wcale nietrudno o wysoki tych, którym wszystko jedno, co

robią, co wykrzykują byle tylko było głośno. (Andrzej — trzeci rok).

W rektoracie słyszę, że było to jednak chuliganstwo. Chuliganstwo polityczne. Plus nieobyczajność. Słyszę także, że trzeba by wreszcie zróżnicować stopień zaufania do studentów. Bo to, co się wydarzyło jedenastego listopada, nie może nie zmuszać do myślenia w szerszych kategoriach. Inaczej za jakiś czas... Odpukać by lepiej.

— Właściwie to ja ich nie rozumiem. Przecież chyba lepiej być „chuliganem” i studiować, niż „politycznym” i z wilczym biletem wylecieć ze studiów. Niekiedy mam wrażenie, że taka interpretacja urzędnika jednak wszystkich. Studentów — bo nikt ich w gruncie rzeczy za łeb nie wyrzuca, władze uczelni — gdyż pozwala nie zawieszają sajeć na dłużej. A musi pan wiedzieć, że to było całkiem możliwe (Marek).

Podobno tego samego obawiali się i studenci. Ale o tym nie mówią.

I to już wszystko. Nie, jeszcze jest Janek. Janek czeka na klucz od nowego pokoju. Pytam go, co myśli o tym, co się wydarzyło w ubiegłym tygodniu. A on, że póki co to dla prasy nic nie myśli. Jest na pierwszym roku i chciałby być na piątym. Zauważyłam, że w rektoracie podkreślają, iż nie chcą nikogo ze studiów wyrzucać, że nie o to chodzi. Kto to może wiedzieć, odpowiada Janek. I znika w pierwszym z brzegu pokoju.

Zostałem na korytarzu. Obok przechodzą ludzie, których wzrok nie wyraża raczej sympatii. Obrażeni? Skrzywdzeni?

POZYSKAĆ DOBRYCH FACHOWCÓW

Szkolnictwo zawodowe w naszym kraju miało i ma szczególnie trudne zadanie. Bo oprócz przygotowania ogólnego, tak jak to czyni każda szkoła typu ogólnokształcącego, powinno przygotować dobre kadry techniczne dla polskiego przemysłu. Rola przygotowania ich przypada nauczycielom przedmiotów zawodowych i praktycznej nauki zawodu.

Nie jest to łatwe, gdyż aby temu zadaniu sprostać, trzeba dysponować wysoko wykwalifikowanymi nauczycielami przedmiotów zawodowych i praktycznej nauki zawodu oraz odpowiednią bazą dydaktyczną. Bazę tę tworzyli i muszą tworzyć sami nauczyciele przedmiotów zawodowych.

Do przedmiotów ogólnokształcących, fizyki, matematyki itp. produkcja pomocy naukowych i ich rozprowadzanie zajmuje się wyspecjalizowane przedsiębiorstwo CEZAS. W przedmiotach zawodowych, ze względu na różnorodność zawodów i specjalności, bardzo często występuje konieczność wykonywania jednostkowych egzemplarzy pomocy naukowych, dostosowanych do danego przedmiotu i tematu. Następcza to trudność w podjęciu ich produkcji przez przemysł? Dlatego też ciężar ten spada na nauczyciela prowadzącego dany przedmiot zawodowy.

Nauczyciel zdaje sobie sprawę, że o efektywności kształcenia w przedmiotach zawodowych decyduje odpowiednio urządzone gabinet, wyposażony w odpowiednie pomoce naukowe i środki dydaktyczne.

Chcąc więc ułatwić uczniowi przywołanie i poznanie danego urządzenia czy zjawiska, nauczyciel jest zobowiązany do wykonania tej pomocy naukowej.

Trud ten podjęło szkolnictwo zawodowe już w latach sześćdziesiątych, przechodząc na system pracowniano-gabinetowy. Wymagało to i wymaga po dzień dzisiejszy od nauczyciela koncepcji racjonalizatorskich i wielu godzin zaangażowanej społecznej pracy.

Nauczyciel przedmiotów zawodowych stał się więc projektantem, konstruktorem, robotnikiem i bardzo często zapośredniczycielem. Stał się również posiadaczem ogromnego majątku społecznego, sięgającego wieluset tysięcy złotych, za który odpowiada — z aspektami finansowymi — własnie. Stał się tym, który ponosi duże, bardzo duże ryzyko i odpowiedzialność za to, co wyprodukował oraz zakupił jako niezbędny środek do realizacji programu. Stał się konserwatorem tego majątku, wykonując to poza normalnymi godzinami pracy.

W minionych latach zdawano sobie z tego sprawę. Między innymi z wyżej wymienionych powodów wprowadzono dodatek przemysłowy oraz zwyczaj procentowy od pensji zasadniczej za nauczanie przedmiotów zawodowych i praktyczną naukę zawodu. Zwyczaj ten wynosił nawet 18 proc.

Z biegiem lat zaczęło stopniowo (o tym zapominam) w latach siedemdziesiątych dodatek od zmniejszono do 5 proc., a obecnie zlikwidowano. Nasuwa się pytanie: czy stuzanie? Czy dzisiaj nie zależy nam na pozyskaniu dobrych fachowców do szkoły zawodowej?

Istnieje obawa, że coraz mniej będzie ludzi, którzy chcą sięgnąć o wzbogacenie gabinetów w pomoce naukowe, chcą wziąć odpowiedzialność za bardzo duże obciążenie finansowe. Istnieje niebezpieczeństwo odejścia diugetnich, dotychczas nauczycieli przedmiotów zawodowych, jak również obawa, że cięcia ograniczą dopływ nowych kadr technicznych.

Już od pewnego czasu obserwuje się duże zainteresowanie kobiet nauczaniem przedmiotów zawodowych. Daleki jestem od negowania wartości pracy kobiet w szkolnictwie, także zawodowym. Niemniej jednak z powodu urlopów macierzyńskich, wychowawczych i opieki nad dzieckiem występuje wysoka absencja, co w konsekwencji wpływa na obniżenie poziomu przygotowania absolwenta do pracy w przemyśle.

I jeszcze jedna kwestia. W ostatnich czasach wyszły zarządzenia regulujące sprawy placowe w oświacie, między innymi określono wynagrodzenie dla nauczycieli za niektóre zajęcia dodatkowe.

Od lat budziła i budzi kontrowersje sprawa wynagradzania za pracę w komisjach egzaminów dojrzałości, a obecnie i wstępnych, jak również prowadzenie dokumentacji klas maturalnych (protokół, świadectwo itp.). Nauczyciel przecież sporo godzin pracuje poza normalnymi zajęciami. Przez wiele lat obowiązywał przepis, który regulował te zagadnienia. Może do niego powrócić?

TADEUSZ WURST
Kraków



Klasa Kwinta (II) Polskiego Gimnazjum w Bytomiu ze swym wychowawcą Jerzym Lubosem (rok 1936/37).



Samorząd szkolny Polskiego Gimnazjum w Bytomiu wydawał własne czasopismo „Idziemy”. Na zdjęciu tytułowe strony zeseium numerów tego czasopisma.

— Nie chodzi nam tylko o znajomość historii Polonii niemieckiej — oświadczył Paweł Gajdzik z Krakowa, były działacz harcerski w Berlinie — ale o to, aby w procesie wychowywania młodego pokolenia wykorzystano dzisiaj przykłady postawy Polaków walczących o prawo do polskości.

Kolejny „bytomiak”, Kazimierz Planetorz, również wyraził przekonanie, iż Polacy spod znaku Rodła są dzisiaj ojczyźnie potrzebni i zapewnił, że gotowość niesienia tej pomocy będzie — tak jak zawsze — bezinteresowna.

Wielce znamienne, aczkolwiek mogą się wydać patetyczne, są takie zdania, które wypowiedział „stary” profesor bytomskiego gimnazjum, Witold Przybylski, podczas spotkania z młodzieżą w Liceum Ogólnokształcącym im. Jana Smoleńca w Bytomiu (patron szkoły był nauczycielem bytomskiego gimnazjum):

WITOLD SALAŃSKI

mnajmum przewinęło się 500 uczniów, a których 64 zdążyło zdać maturę. Już w czasie wojny blisko jedna trzecia spośród nich zginęła. Niekilku stracił życie w okolicznościach dla Polaka najbardziej tragicznych — jako żołnierze Wehrmachtu, czasami rozstrzelani za dezercję z niemieckiej armii.

Pięćdziesiąt lat później

w listopadzie br. około osiemdziesięciu absolwentów i uczniów byłego Polskiego Gimnazjum znowu zjawili się w Bytomiu. Już jako 60—70-letni mężczyźni, emeryci. Czy tych ludzi, którzy „burzom dziejom nie dali się zgnieść”, przywiodła na zjazd tylko zwykła ciekawość losów dawnych kolegów? Już w czasie pierwszego spotkania w Urzędzie Miejskim, kiedy rozwinęła się dyskusja nad referatami prof. dr. Teodora Musioła („Walka o szkołę polską w Niemczech”) i mgr. Franciszka Adameca („Działalność dydaktyczno-wychowawcza gimnazjum bytomskiego”), wyszło na jaw, że „bytomiakom” kilka spraw leży na sercu.

Padaly pytania zaskakujące i bolesne: Czy przeciętny Polak, powiedzmy, z Białogostoku, Rzeszowa, wie coś o Związku Polaków w Niemczech? Czy zdaje sobie sprawę z tego, jak trudno było być Polakiem w żywiole niemieckim? Czy wie, że Polacy mieszkający w granicach dawnej Rzeszy niemieckiej mieli do kryzysa i gestapo na długo przed rokiem 1939?

Czy mają umrzeć dwa razy? — wolano dramatycznie. Kto ocali od zapomnienia bohaterstwo setek tysięcy Polaków, bohaterstwo trudne, bo codzienne, któremu można było sprostać tylko dzięki wierności przodkom?

To właśnie takim cichym, anonimowym bohaterom zawdzięczamy tak wiele, a przede wszystkim prawo do ziemi, którym przez kilkadziesiąt lat zarządzał kto inny.

Podręczniki szkolne o tych latach prawdziwie nie rozpisują się, a i ZBoWiD jeszcze do niedawna odwracał się plecami do tych patriotów, którzy oddali wszystkie siły ojczyźnie, a potem nie mogli znaleźć miejsca w odpowiednich rubrykach biurokratów.

Prowadzący dyskusję Józef Kachel (były pracownik polskiego konsultatu w Bytomiu i Opolu) wyraził pogląd, który być może komuś wyda się zbyt pompatyczny: „w postępowaniu tych Polaków było coś analogicznego do czynu o. Maksymiliana Kolbego. On oddał wszystko, żeby uratować brata, oni oddali wszystko, wyrzucając represje ratując Polskę” (gorąca brawa).

Okazuje się, że nie wszędzie jest cicho o Polakach spod znaku Rodła. Jak poinformował Witold Kmiecik, „bytomiak” z lat 1936—37, później przeniesiony do Kwidzyna, w Szczecinie istnieje koło byłych działaczy polonijnych w Niemczech, a pięć wzorowych szkół szcześcińskich nosi imiona najbardziej oddanych działaczy tego okręgu. Działa także hufiec im. Bohaterów Polonii Szczecińskiej, a w tej chwili buduje się statek „Rodło”.

— Myślę, że za dwa lata wszyscy spotkamy się na uroczystym wodowaniu — dodał Witold Kmiecik przy ogromnym aplauzie zebranych. Na zakończenie mówca zaproponował utworzenie ogólnopolskiej konfederacji Polaków spod znaku Rodła.

— Jesteśmy teraz Polsce bardziej potrzebni niż się wydaje — oto ten wypowiedzi Witolda Kmiecika i kilku następnych mówców — może będzie łatwiej wybrnąć z kryzysu, gdy za drogowskaz ideowy przyjmie pięć prawd Związku Polaków w Niemczech, prawd zrodzonych w czasach znacznie trudniejszych: jesteśmy Polakami; wiara ojców naszych jest wiara czasach znacznie trudniejszych; jesteśmy dziećmi Polak narodowi służy; Polska matką naszą, nie wolno mówić o matce źle.



Wskazywano na przykład, że Polska miała słaby statut w roku. Na przykład w roku szkolnym 1925—26 znajdowało się w naszym kraju 33 niemieckie szkoły średnie do których uczęszczało 9400 uczniów. Natomiast w Niemczech nie było w tym czasie ani jednej szkoły polskiej na szczeblu ponadpodstawowym, mimo że w kraju tym mieszkało półtora miliona Polaków. Zaisię, polska kolonizacja i wielokodność były bezspędzalne.

Niebawem ten stan rzeczy się zmienił. Na początku lat trzydziestych utworzono w Polsce Fundusz Szkolnictwa Polskiego za Granicą. Akcję zbierania pieniędzy na ten cel — jak zaznacza Jerzy Lubos — „do samego wybuchu wojny popierało żywiołowe całe społeczeństwo polskie. Na Śląsku ofiarodawcami na ten cel potrafili być i bezrobotni”.

Co najmniej dwa wydarzenia skłoniły władze niemieckie do wyrażenia zgody na otwarcie polskiego gimnazjum w Bytomiu. Właśnie w tym mieście uległo likwidacji polskie wydawnictwo „Katolik”, którego gmach — po adaptacji — nadawał się na szkołę. Drugi fakt, który z pewnością zaważył pozytywnie na idei utworzenia polskiego gimnazjum w Niemczech, to zezwolenie władz polskich na budowę gimnazjum niemieckiego w Chorzwie. Władze niemieckie przewidując reakcję strony polskiej na wypadek odmowy — mimo ostrej protestów nastawionych polakożerczo obywateli niemieckich — udzieliły zgody. Wśród protestujących był dyrektor ministerialny w pruskim ministerstwie, dr Trendelenburg, który obawiał się, że wśród

przyszłych absolwentów polskiego gimnazjum znajdują się kandydaci na księży. A ci już będą wiedzieli, jak nastrają obywateli niemieckich narodowości polskiej, szczególnie na wsłach.

Polskie Gimnazjum w Bytomiu (o profilu klasycznym) zainaugurowało działalność 8 listopada 1932 roku. Jak pisze we wspomnianym artykule absolwent bytomskiej szkoły, Franciszek Adamec: „od pierwszego dnia funkcjonowania gimnazjum zaczął się nowy etap walki o jego charakter, rolę w życiu polskiego społeczeństwa, a w ostatecznym rozrachunku o jego egzystencję”. I dalej: „Generalnym założeniem niemieckiej administracji oświatowej było narzucenie takiego modelu wychowania, żeby absolwenci wynieśli ze szkoły mentalność «po polsku mówiących Prusaków»”.

Wkrótce jednak, gdy polska opinia publiczna zdała sobie sprawę z tego, jakimi metodami posługują się Niemcy, zaczęło w polskiej prasie i radia domagać się rozwiązania kwestii szkolnictwa mniejszościowego w obydwu państwach na zasadzie wzajemności.

Wskazywano na przykład, że Polska miała słaby statut w roku. Na przykład w roku szkolnym 1925—26 znajdowało się w naszym kraju 33 niemieckie szkoły średnie do których uczęszczało 9400 uczniów. Natomiast w Niemczech nie było w tym czasie ani jednej szkoły polskiej na szczeblu ponadpodstawowym, mimo że w kraju tym mieszkało półtora miliona Polaków. Zaisię, polska kolonizacja i wielokodność były bezspędzalne.

W tej sytuacji utworzenie polskiego gimnazjum w Niemczech było kwestią chwilową. Na terenie Niemiec bardzo aktywnie działali na szczeblu utworzenia polskiej szkoły średniej członkowie Związku Polaków w Niemczech oraz Związku Polskich Towarzystw Szkolnych.

Co najmniej dwa wydarzenia skłoniły władze niemieckie do wyrażenia zgody na otwarcie polskiego gimnazjum w Bytomiu. Właśnie w tym mieście uległo likwidacji polskie wydawnictwo „Katolik”, którego gmach — po adaptacji — nadawał się na szkołę. Drugi fakt, który z pewnością zaważył pozytywnie na idei utworzenia polskiego gimnazjum w Niemczech, to zezwolenie władz polskich na budowę gimnazjum niemieckiego w Chorzwie. Władze niemieckie przewidując reakcję strony polskiej na wypadek odmowy — mimo ostrej protestów nastawionych polakożerczo obywateli niemieckich — udzieliły zgody. Wśród protestujących był dyrektor ministerialny w pruskim ministerstwie, dr Trendelenburg, który obawiał się, że wśród

przyszłych absolwentów polskiego gimnazjum znajdują się kandydaci na księży. A ci już będą wiedzieli, jak nastrają obywateli niemieckich narodowości polskiej, szczególnie na wsłach.

Wskazywano na przykład, że Polska miała słaby statut w roku. Na przykład w roku szkolnym 1925—26 znajdowało się w naszym kraju 33 niemieckie szkoły średnie do których uczęszczało 9400 uczniów. Natomiast w Niemczech nie było w tym czasie ani jednej szkoły polskiej na szczeblu ponadpodstawowym, mimo że w kraju tym mieszkało półtora miliona Polaków. Zaisię, polska kolonizacja i wielokodność były bezspędzalne.



Gmach Polskiego Gimnazjum w Bytomiu. Obecnie mieści się w nim szpital zakazny.



„Prawdy Polaków”, uchwalone na Kongresie Polaków w Niemczech, który się odbył w Berlinie dnia 1 marca 1939 z.

Mieczysław Soltys — organizator i pierwszy dyrektor Polskiego Gimnazjum w Bytomiu, były działacz piśmiotczy, redaktor „Barczera Polskiego”, powstaniec śląski, aktywnista Polskiego Związku Zachodniego. W okresie II wojny światowej ujęty przez Niemców podczas łapanek w powiecie krańskim, przebywał na przymusowych robotach w Niemczech. Zmarł w drodze powrotnej do kraju w 1945 r.

SPOD ZNAKU RODŁA
BYTOMIACY

Słowa Wergiliusza „forsan et haec olim meminisse iuvabit” („I to pewnie przypomnieć, kiedyś będzie miło”) otwierają monografię Jerzego Lubosa pt. „Dzieje Polskiego Gimnazjum w Bytomiu w świetle dokumentów i wspomnień”. Autor, były profesor tejże szkoły, nauczyciel greki, łaciny i niemieckiego objawił mądrość klasycznego humanizmu, mądrość, której posiadaczami są niemal wyłącznie ludzie późnej jesieni życia. Ich wspomnienia, jeśli nawet obejmują chwile związane z walką, niebezpieczeństwem, bólem, cierpieniem, łzami, zawsze są pogodne, bo cel, któremu się w młodości poświęcili, był wzniosły, słuszny, szlachetny, godny, jedyny do przycięcia.

Rzadka to i niewykłaj okazja, gdy po kilkudziesięciu latach spotykają się ludzie, których w młodości łączył właśnie taki cel, a była nim Ojczyzna, Polska, w chwilach patriotycznego uniesienia Matką swana.

Właśnie w dniach 4—8 listopada 1962 roku — dokładnie w pięćdziesiątą rocznicę otwarcia Polskiego Gimnazjum w Bytomiu — zebrał się jego absolwent i uczniowie, którzy mieli szczęście uczęszczać do jednej w owym czasie polskiej szkoły średniej na terenie Rzeszy niemieckiej. (Utworzone w 5 lat później drugie i ostatnie polskie gimnazjum w państwie niemieckim — w Kwidzynie — było niejako dzieckiem bytomskiej szkoły, ponieważ przeszło do niego aż 79 uczniów i kilku profesorów z dr Władysława Gębikiem na czele).

Jaką rolę odegrała bytomska placówka w dziejach walki o polskości Śląska? Lapidarnie na to pytanie odpowiada publicznie



Reprezentacyjna drużyna piłki nożnej Związku Polaków w Niemczech na Olimpiadzie Sportowej w Warszawie, zorganizowanej z okazji Zjazdu Polaków z Zagranicy 5 sierpnia 1934 r. Drużynę tworzyli uczniowie Polskiego Gimnazjum w Bytomiu. Klęczą do lewej: Augustyn Pielorz, A. Łojzy Morciniec, Antoni Ledwig, Jan Siejca. Stoją od lewej Augustyn Pełka, Gerhard Spisla, Wilhelm Poloczek, Augustyn Jagło, Emil Siłwka, Jan Marszałek, Józef Wodarski, Paweł Kasperek, Jan Maciosek.

Zdjęcia: Archiwum



Malują, wymieniają poglądy na sztukę, organizują wystawy. Prawie zawsze można je oglądać w Stołecznym Domu.

DOM NA SKARPIE

CD ZE STR. 1

dziele się coś interesującego. Miłośnicy sztuki filmowej oglądają filmy i dyskutują na ich temat, psycholodzy-amatorzy spotykają się w Klubie „Psychologia na co dzień”. Systematycznie bywają tu członkowie Klubu „Buchenwald” oraz członkinie Klubu „Oberlangen”. W miejscowości tej miesi się obóz jeniecki dla kobiet z Powstania Warszawskiego. Działaczki klubu pracują nad monografią obozu. Przychodzą też członkowie Klubu „Przyciół Życia”. Klubu Hi-Fi, towarzystw regionalnych, ornitologów, Klubu Matek Chrzestnych. Miłośnicy książek — mają bibliotekę i czytelnice, żeglarze i sympatycy żeglarstwa urządzają „bieszki żeglujących bardów”. Ponadto — jak już wspominałam — literaci, plastycy tworzą i wymieniają poglądy na różne dzieła, śpiewają chórzyci, muzykują melomani. Wciąż zresztą nowe zespoły powstają, a czasami dawne kończą prace.

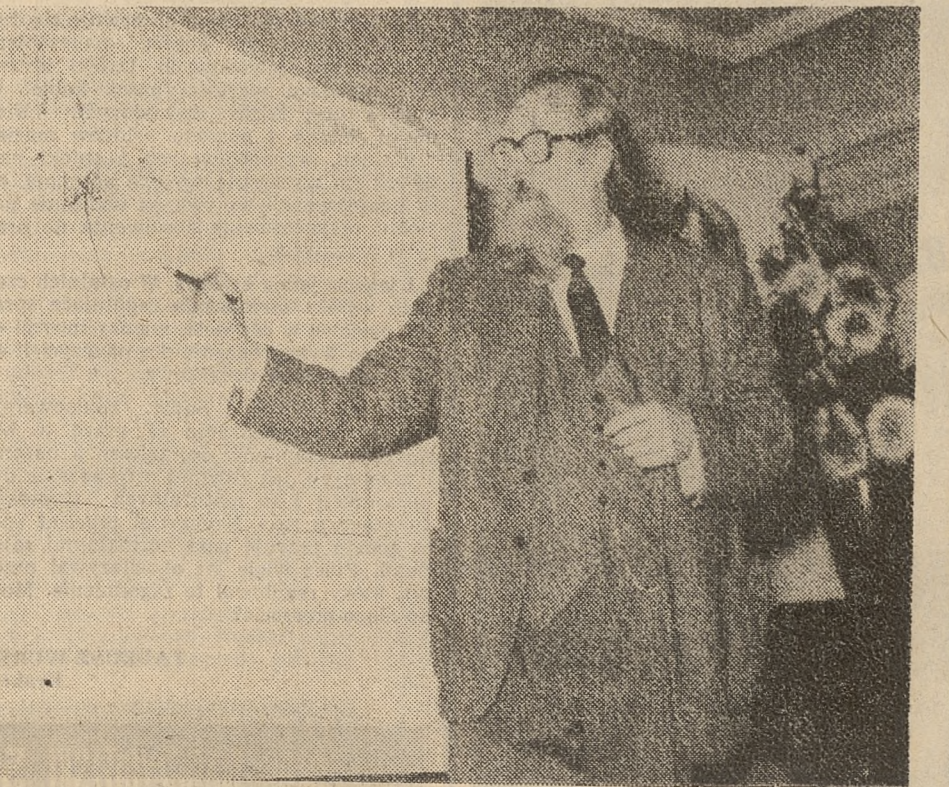
Dlaczego więc warszawscy nauczyciele tak mało korzystają z tego bogactwa? Oto pytanie.

Ważny przykład mojego klubu „Psychologia na co dzień”, berzącego na samokształceniu kierowanym przez specjali-

stą — psychologa, dr. Andrzeja Rojtkiewicza. Wypracował on wiele form i metod przyswajania wiedzy z dziedziny psychologii, a także poznawania siebie i innych, pogłębiania kultury psychologicznej i psychicznej. Wszystko to byłoby dla nauczycieli „jak znalazł” i w pracy, i życiu prywatnym. Ale — słabo z ich uczestnictwem.

Klub kilkakrotnie i na różne sposoby wychodził naprzeciw nauczycielom. Między innymi członkowie zarządu, po dokonaniu rekonesansu w kuratorium i inspektoratach, rozesłali do pedagogów 150 zaproszeń informujących o programie. Oddźwięk był jednak słaby. Zgłosiło się kilkanaście nauczycielek, a zaledwie kilka korzystało w sposób ciągły z klubowych spotkań.

Pracownicy biblioteki jakiś już czas temu zgłosili gotowość niesienia pomocy pedagogom piszącymi prace magisterskie. Proponowali przygotowanie zainteresowanym potrzebnych im zestawów bibliograficznych i książek. A trzeba podkreślić nie małe bogactwo tutejszego księgozbioru, liczącego ok. 15 tysięcy woluminów, w której części z zakresu pedagogiki, psychologii, filozofii. Na te oferty zgłosiło się zaledwie parę osób.



Szymon Kobylński „ubarwia” spotkanie rysunkiem.

Teatr Adekwatny działający w Stołecznym Domu wystąpił w ubiegłym roku z interesującą inicjatywą, organizując Studium Wiedzy o Teatrze dla nauczycieli i uczniów. Sprawa pomysłowa została dwuetażowo i w poprzednim sezonie odbyło się szereg pasjonujących spotkań, na których uczestnicy recytowali wybrane sceny z Kordiana. Potem dyskutowali, oceniając wykonanie, zaś występujący uzasadniali swoją interpretację. W każdym spotkaniu uczestniczyło około 60 osób, zawodowi aktorzy i... uczniowie. Tymczasem liczono nie tylko na młodzież, lecz i na nauczycieli, którzy, niestety, zawiędli.

Uczniowie bardzo szybko przyswajali sobie kulturę słowa, a także kulturę działania publicznego. Bardzo prędko zaczęli odkrywać logikę i piękno języka słowackiego. Dlatego wzrost niewiarygodnie wyjątkowy, że zapaleni poloniści nie chcieli tego widzieć, słysząc, przeżywać Kierującemu teatrem Henrykowi Boukolowskiemu marzyła się — choćby niewielka, ale doborowa garstka rozmiłowanych polonistów. Takich, którzy sami tworzą szkolne teatry, których porwa sztuka. Nie przyszła. Szkoda, bo w drugim etapie, zwanym Warsztatami Realizacji Teatralnej, są chyba jeszcze bardziej potrzebni. Sami mogliby wiele skorzystać, przeżyć, a także wiele dać młodzieży, ale — jak dotychczas — nie zgłosili się.

Dyrekcja i pracownicy Stołecznego Domu od dawna usiłują przyciągnąć młodych nauczycieli, bo tych tutaj chyba najmniej. Choć robi się wiele, aby wyjść naprzeciw ich życzeniom. Kiedyś zapytano ich, co jest im najbardziej potrzebne. Mówili: informacja o naszych uprawnieniach zawodowych. Zorganizowano więc niedawno w Domu Kultury dwa spotkania dla młodych nauczycieli. Jedno z wicekuratorów, drugie z dyrektorem departamentu MOiW. Ponadto zaś nie znalazłono w kuratorium specjalnego rejestru warszawskich młodych pedagogów, więc instruktorzy Stołecznego Domu, Ewa Duda, sporządziła natrudziła wyszukiwać młodych kolegów w poszczególnych szkołach. Wysłano 180 zaproszeń imiennych. Przyjęte zostały zyczliwie zaledwie przez dwadzieścioro młodych. Tylko tyłu ich bowiem



Muzyka Dalekiego Wschodu skłania do medytacji...



Taniec w wykonaniu zespołu Teatru Piosenki „Bliźnięta”.

przyszło na pierwsze spotkanie — dyskusję o Karcie Nauczyciela. Jeszcze gorzej było z drugim spotkaniem, którego tematem były uprawnienia początkujących nauczycieli. Trudno sądzić, że — zgłoszony przez samych młodych — temat był nieatrakcyjny. Zdawałoby się też, że interesujące dla nich mogło być bezpośrednie spotkanie z kompetentnym specjalistą. Niestety — znów fiasko.

Trudna do pojęcia jest ta bierność. Nie można jej tłumaczyć brakiem informacji o działalności Stołecznego Domu. Przekazywane są one warszawskim nauczycielom w wydawanym co miesiąc biuletynie. Zawiera on wykaz imprez, a wydawanie jest w 400 egzemplarzach z czego 200 posyła się do szkół, pozostałe zaś do inspektoratów, do kuratorium i do ODN. Ogłoszenia wywiesza się w Stołecznym Domu, w Bibliotece Pedagogicznej w przychodni.

Nie można również tłumaczyć nieaktywności brakiem czasu. Oczywiście, nauczyciele są bardzo zajęci, ale nie tak, żeby raz w tygodniu nie znaleźć dwu, trzech godzin dla siebie, swego rozwoju. Przedstawiciele innych zawodów, głównie: elektrycy, technicy, lekarze, dziennikarze, pracownicy wydawnictw itp. — też są bardzo zajęci, zabiegani, też uwikłani w kolejki po zakupy, a jednak z własnej chęci przychodzą na zajęcia do Stołecznego Domu Kultury Nauczyciela.

Rozmawiałam o tym z dyrektorem Celiszkim. Powiedział: nasz dom nie choruje na brak uczestników, ale — wciąż mamy niedosyt, a jest on właśnie związany z niedostatecznym uczestnictwem pedagogów. Bo nauczyciel, jeśli nie rozwija swoich pasji, staje się tylko wyrobkiem. Sam ze swojej młodości najbardziej pamiętam tych rozmiłowanych w czymś wychowawców. Jeden rozkochany był w starożytności, drugi — uwielbiał malarstwo, a jeszcze inny każdą niemal wolną chwilę poświę-



Kolorowy telewizor, wygodne fotele, atmosfera ciepła i spokoju...

cał... pszczołom. Uczniowie mówili, o nich, że „mają hopla”, ale właśnie o nich pamiętają całe lata, wspominają ich z sentymentem.

Rzecz jasna zamłowania można rozwijać samemu, wiedzę pogłębiać na własną rękę i są ludzie, którym odpowiada tylko taka forma: w większości jednak lepiej, łatwiej czynić to zespołowo.

Stołeczny Dom Kultury stoi przed każdym nauczycielem otworem. W bieżącym sezonie dyrekcja i pracownicy oferują dodatkowe formy, z których można skorzystać. W godzinach przedpołudniowych, w swoim wewnętrznym kinie chcą wyświetlać filmy i organizować na ich temat prelekcje dla uczniów i nauczycieli. W zależności od zapotrzebowania mogą do być prelekcje od wspierające lekcje języka polskie, historii, geografii, dotyczące zasad ruchu drogowego itp. Trzeba tylko skontaktować się ze Stołecznym Domem. Dyrekcja chciałaby też zorganizować ośrodek preorientacji zawodowej, gdyby potrzebę taką wyraził nauczyciele zajmujący się w szkołach tym zagadnieniem. W projekcie jest Klub Młodych Nauczycieli, którzy sami ustaliliby sobie swój najbardziej fantastyczny nawet program. W grę mogłyby też wchodzić imprezy organizowane dla nauczycieli przyjeżdżających na wycieczki do Warszawy. Wzajemniejsze skontaktowanie z domem pozwoliłoby na przygotowanie — zgodnie z życzeniem — ewentualnych spotkań z aktorami, literatami, jakimi występów itp.

Tak więc nie tylko dzień dzisiejszy domu, lecz także zamierzenia na przyszłość są interesujące i powinny przyciągać. Zyskają także warto ubarwiać i wzbogacać.

HANNA POLSAKIEWICZ
zajęła: BOGDAN KACOL

SWOJO WŚRÓD SWOICH

CD ZE STR. 1

na posyiki, któremu wszak też określa się każdego dnia jakieś zadania. Co to ma jednak wspólnego z podmiotową samorządnością?

— A jak ją Pan pojmuje? Zaczynajmy może od podmiotowości ucznia, bo samorządność, partnerstwo są jej bliźniakami.

— Najogólniej powiedziałbym, że podmiotowość ucznia to uznanie w nim po prostu człowieka jako istoty rozumnej, społecznej, czuciem obdarzonej, która się rozwija i przez to jest plastyczna, a przede wszystkim ogromnie wrażliwa. Ale właśnie dlatego, że się dopiero rozwija, potrzeba jej mądra (nie mylić z czułościwą) opieka dorosłych, opieka pielęgnująca cechy naturalne.

— Na przykład...

— Oprócz wymienionych, a może nieco je rozróżniając, chociażby ciekawość świata i wynikająca z niej aktywność, przede wszystkim zaś potrzeba akceptacji, zwłaszcza w gronie rówieśników. Uczeń i jakichś względów odrzucony przez klasę, skazany jest na deformację psychiki. Powiedziałbym nawet, że większą wagę dla zachowania niż opinia nauczyciela. A w partnerstwie idzie o to, aby doprowadzić do maksymalnej zgodności, między nimi, nie pozornej, lecz rzeczywistej. I ta rzeczywistość jest możliwa, gdy w uczniu widzimy człowieka.

— Zatem decydują tu wiedza socjologiczna i duże wyczuwanie pedagogiczne nauczyciela. Jednakże nauczycielek odpowiada: „Jestem o tym przekonany, że nie ma zbyt wielu. Nie wiec diwnego, że z ową podmiotowością robi się przedmiotowość.”

— Na pewno poziom kadry pedagogicznej odgrywa w tym względzie niemałą rolę. Ale znaczny wpływ na przedmiotowość traktowanie małego człowieka ma także charakterystyczny nie tylko dla oświaty irracjonalny lek przed samodzielnością ludzi, ojalmy lek przed samodzielnymi dziećmi, a nad którymi sprawuje się jakąś władza, nad nauczyciel też czuje się władzą nad uczniowską gromadą. Jakże oprócz się pokusić się zasmakowania! To nie wymaga takiego wysiłku intelektualnego, opiekunczego, jaki potrzebny jest w układzie partnerskim, przynajmniej na początku partnerskiego dialogu. Zresztą ów lek przed uczynieniem kroku do przodu obserwujemy także w stosunku do młodzieżowych organizacji ideowo-wychowawczych. Co trochę po kolejnym wstrząsie drgnie, to znów siada i znów cała podmiotowość w słownym echemu na zebraniach podryguje.

— A więc nie w idealny błąd, lecz w nieprzychylnych jej realizacji warunkach. Czy widzi Pan jakieś wyjście z owej pułki, przynajmniej w takim zakresie, jaki wyznaczają mury szkoły?

— Gdybym zwątpił w taką możliwość, zrezygnowałbym z kontaktów ze szkołami, w których z trudem, bo z trudem, ale przecież powoli torują sobie drogę idea uczniowskiej samorządności i współpracy, idea odrzucająca drapieżne współzawodnictwo, w którym jest miejsce tylko dla osobników silnych, bezwzględnych, sbył często dla zdobycia poklasku nie leczących się z tradycyjnie unanym normami nauczyciela. Idea współpracy służy tworzeniu warunków do rozwoju każdego ucznia. Opiera się na humanistycznym systemie wartości pedagogicznych, wychowawczych, formułowanych między innymi w dziełach Marii Ossowskiej, Tadeusza Kotarbińskiego, Bogdana Suchodolskiego, Wincentego Okonia...

Krótko mówiąc, idzie o tworzenie w szkole takiej atmosfery, w której każdy uczeń czuje się kimś w swojej rówieśniczej społeczności: i w sensie dydaktycznej i wychowawczej. Zresztą nie można oddzielać zasady integracji kształcenia i wychowania opiera się na koncepcji nauczania wychowującego.

— Są to wielkie teorie. Ale jak praktycznie doprowadzić do tego, żeby każdy uczeń czuł się kimś?

— Opowiem pani autentyczne zdarzenie. W 1974 r. odwiedziłem większą szkołę w Czerninie (woj. leszczyńskie). Czwarą klasa miała „okienko”, gdyż nauczyciel zachorował i nie było go kim zastąpić. Pochochowałam na lekcję. Wpadała właśnie matematyka. W pewnym momencie poprosiłam do odpowiedzi jedną z dziewcząt. Klasa zareagowała śmiechem. — Dlaczego? —

pytam. A oni — niech pan nie pyta Grażyny, bo ona jest głupia. Lepiej od razu postawić dwie.

Dziecko wyglądało normalnie, miało jedynie wystraszone, umykające przed kłującymi spojrzeniami — czy. Dalem jej proste przykłady do rozwiązania, taki wyjęty z życia, coś o jabłkach i ich dzieleniu. Stała jak słup i ani słowa. Klasa znów zachuchała: — A nie mówiliśmy...

— Powiesz na ucho, tylko mnie — zwróciłem się do niej. Skłębła głową. Odpowiedź była prawidłowa. Wtedy zaczęła się długa rozmowa z klasą, rozmowa szczerą, partnerska.

Kiedy po dwu latach znów zjawiliem się w tej szkole — w całym tym okresie realizowano już w niej system zorganizowanej współpracy — Grażyna należała do asystentek grupy, „matematycznej. Żywa i pewna siebie, nie ta sama. I co najważniejsze, nikt jej nie dokuczał.

— Z tego, chyba dosyć wyjątkowego, przykładu wynika, że Grażyna uwierzyła w siebie, kiedy została zaakceptowana przez społeczność klasową.

— Bo zespół klasowy jest tym naturalnym środowiskiem szkolnym, którego pulowanie określa rytm pracy, samopoczucie należących doń jednostek. Kształtując społeczność, tworzymy warunki do rozwoju jednostki. Człowiek bowiem jako istota społeczna urzeczywistnia się w układach interpersonalnych. W szkole współpracy staramy się uzmysłowić dzieciom, dlaczego powinny ze sobą współpracować i jakie korzyści z nich odnieść. Korzyści ze wzajemnej pomocy. Opieramy się na naukowej koncepcji organizacji pracy, którą stworzyli na naszym polskim gruncie wielki humanista, praeolog Tadeusz Kotarbiński. Pisał on: „Współdziałanie wielu podmiotów ze względu na określone ich cele zachodzi tylko wtedy, jeżeli każdy z tych podmiotów pomaga któremś innemu podmiotowi z tego samego grona lub jest wspomagany przez jakiś inny podmiot z tego grona.”

Aby uzmysłowić uczniom podstawową zasadę naukowej organizacji pracy, uciekamy się zazwyczaj do żywych przykładów. I można łatwo, odwołując się chociażby do życia rodziny, uświadomić, że jeżeli nie pomagamy sobie wzajemnie, jest nam ciężko, źle. Albo w przedszkolu, podczas zabawy czy innych zajęć. To samo dotyczy nauki dzieci i młodzieży w szkole. Tu można już stosować metody odpowiadające grupom wiekowym.

— Na przykład...

— W szkole samorządności i zorganizowanej współpracy dokonujemy podziału pracy przez dobrowolne tworzenie zespołów przedmiotowych, w których uczniowie pomagają sobie wzajemnie i nauczycielom w realizacji programów nauczania. Każdy uczeń przecież ma jakieś predyspozycje, coś lubi, sam więc określa do jakiego zespołu przedmiotowego chce należeć (wszystkie przedmioty wzajemnym kontaktem inne upodobań, może zmienić przynależność do zespołu. Wyniki naukowych badań nad istotą uzdolnień ludzkich wskazują bowiem na to, że mówiąc słowami B. Suchodolskiego: „tylko nieliczni zawiadzają swe zdolności naturze; w większości wypadków zdolności trzeba systematycznie kształtować i rozwijać.”

— Myślę, że trochę odstraszało działających podziału na grupy, grupki. W życiu mieliśmy ich aż nadto.

— Są to jednak podziały nie mechaniczne, lecz naturalne. I nie na lepszą czy gorszą ucznia, lecz zgodnie z odczuwaną przez niego potrzebą oraz z nastawieniem: nie tylko brać, ale i coś z siebie dać. Zresztą stara maksyma głosi: ucząc innych, uczysz sam siebie. Doświadczenie eksperymentalnych placówek podpowiada, że uczniowie bardzo szybko potrafia ocenić wartość współpracy i wzajemnej pomocy, przede wszystkim dlatego, że w kontaktach interpersonalnych znika dokuczliwość, która u osób wrażliwych często wywołuje zniechęcenie do szkoły, psychiczną izolację i zahamowania, a nawet wpedza w głębokie kompleksy, jak w przypadku Grażyny.

— Rola nauczyciela? — Mądra, bez narzucania czegośkolwiek na siłę, sterowanie współpracą uczniów i poprzez tę współpracę samowychowaniem, no i — co ogromnie ważne — sprawiedliwe ocenianie wyników. W szkołach współpracy wyróżnia się i nagradza ucznia za



Fot. Cz. Górski

wybitne osiągnięcia w wybranym przedmiocie, niezależnie od ocen z pozostałych (z wyjątkiem niedostatecznych). Nie wymieniam szczegółów organizacyjnych, które bez wysiłku i absorbowania czasu załatwiają sami uczniowie, a które nie muszą przecież być podporządkowane jednemu schematowi.

— Część doświadczeń szkoły zorganizowanej współpracy zaprezentował „Głos” reportażem z Miejskiej Górki, gdzie według tej koncepcji pracują już od 1978 roku.

— Ważne jest jednak, aby w trosce o formę nie zagubić istoty sprawy, czyli tworzenia klimatu dla uczniowskiego „jestem kimś” w zespole: dostarczając mi, akceptując, pomagając mi, bo i ja im pomagam, w czym pomóc potrafię”. Tak rodzi się uczniowska solidarność, w tym najlepszym znaczeniu. Pozwólmy im się czuć swoje wśród swoich rówieśników.

Wierzę tu ogromne pole działania dla samorządności. Zresztą użył Pan na początku rozmowy określenia „szkoła uczniowskiej samorządności i współpracy”.

— To oczywiście, że warunkiem dobrej współpracy uczniów w nauce i tworzenia atmosfery wzajemnej życzliwości, zaufania jest poszanowanie przez wszystkich bez wyjątku nauczycieli Instytucji samorządności uczniowskiej oraz odpowiedzialny, nieprzedmiotowy stosunek do każdego dziecka. Zadaniem samorządu klasowego i szkolnego jest czuwać nad rzetelną nauką i godnym zachowaniem się każdego ucznia.

— Jak czuwać? Czy tylko, aby uczniowie wzorowo wypiełniali szkolne obowiązki?

— Nie tylko. Czasem przyczyną zakłóceń normalnego rytmu pracy tkwi w postępowaniu nauczyciela. Może znów odwołamy się do przykładu. Do zespołu przedmiotowego jednego z kolegów zgłosili się uczniowie ze słabą oceną trójkową. Kolega potraktował to jako osobisty afront. Nie krył niezadowolenia nawet wówczas, kiedy uczniowie solennie przyrzekli, że dołożą wszelkich starań, aby się poprawić, że to ich ulubiony przedmiot. Wreszcie wyraził zgodę, ale powiedział wprost, że mu kaktus na dion włożył, jeżeli którykolwiek z nich otrzyma więcej niż dostateczną. I był konsekwentny. Nauczyciele nie przekonali nawet to, że po pewnym czasie ci „stabi” zaczęli efektywnie pomagać innym. Wtedy do akcji włączył się samorząd klasowy. Kiedy interwencja u wychowawcy nie odniosła skutku, poproszono o „prezjstrowanie” całego zespołu do innego ze względu na „zmiłane” zainteresowania. Tym razem sprawę udało się załatwić pozytywnie.

— Zatem swego rodzaju kontrola, tego nauczyciele boją się najbardziej.

— Jeżeli traktują sprawę mechanicznie, ambicjonalnie (co mi tam smarkaczę będą podskakiwać), jeżeli nie szanują w uczniu partnera. Dzieci, młodzież są ogromnie wrażliwe na rzetelność i sprawiedliwość nauczyciela. Jeżeli postępowanie nauczyciela wywołuje sprzeciw społeczny uczniowski, dlaczego nie wysłuchać jej argumentów. Oczywiście, rzeczniczkę społeczeństwa w stosunku do grona pedagogicznego powinien być samorząd klasowy czy szkolny. Nie każdy uczeń z osobna, bo wtedy w sytuacjach konfliktowych łatwo wypaczyć istotę partnerskiego układu. Opinia samorządu powinna być traktowana poważnie, zobowiązując do zbadania przyczyn niezadowolenia i ich wyjaśnienia. Przecież tylko przez rozładowanie napięcia możemy pomóc sobie wzajemnie. Na pewno metoda, „hubla na Józła, bo Józio osmiesił się otworzyć buzię” nie jest podmiotowym traktowaniem uczniowskiego ciała przedstawicielskiego.

— Czyli idzie o wzajemne zaufanie, o które obecnie chyba najtrudniej.

— Ale to nie znaczy, że jest ono niemożliwe, przynajmniej w szkole. Zesby dostarcz w uczniu człowieka, nie musimy uciekać się do uszczelnienia cząstki kredytów dewizowych czy towarowych. Wystarczy tylko być samemu człowiekiem. Prawda, że niewiele?

— A jednocześnie tak bardzo dużo. Dziękuję za rozmowę.

ZENOBIA MILLER



Jeden z zespołów na Harcerskim Festiwalu Kultury Młodzieży Szkolnej — „Kleśce 87”.
Fot. CAP

HARCERSTWO I KULTURA

Z FANTAZJĄ I POMYSŁEM

Truizmem jest stwierdzenie, że książka, film, teatr, muzyka, sztuki plastyczne są nieodwołalne, jeśli chce się wychować człowieka światłego, wrażliwego, o bogatej osobowości. Kłopot w tym, jak należy to oczyścić i w pełni realizować. Problem ten stał się właśnie przedmiotem rozważań Rady Naczelnej ZHP, która obradowała w Warszawie w pierwszych dniach listopada.

Dewiza harcerstwa jest samodzielnosc i pomysłowość. Wykorzystanie własnej inwencji twórczej, bez odwołania się do materialnego wsparcia mecenasów, musi stać się zasadą każdej drużyny czy szczerpu. Drużyna harcerska nie jest jednak w stanie wszystkiego sama sobie zapewnić. Konieczne są więc, choćby minimalne, dotacje państwowe. Rada Naczelna ZHP wiąże duże nadzieje z Narodowym Funduszem Kultury i jest zdania, że z funduszu tego w pierwszej kolejności należy dotować te dziedziny kultury, które zaspokają potrzeby najmłodszych odbiorców. Terapię finansową nie mogą jednak zakłócić istoty harcerskiej służby, a jest nią między innymi wola przerywania każdej trudności.

Ostatnio wiele się mówi w naszym kraju o kulturze słowa, o potrzebie oczyszczenia słownictwa z niecelowości i wulgarności, o braku umiejętności dyskusyjności. Podjął ten problem gość Rady Naczelnej ZHP, minister kultury i sztuki, prof. Kazimierz Żygulski. Jego zdaniem — jedna z dróg, jaką powinna pójść działalność kulturalna ZHP, jest kultura języka, gdyż „stan kultury społeczeństwa przejawia się przede wszystkim w języku”.

Głos ten znalazł odzew wśród uczestników obrad, budząc z jednej strony zrozumiałą aprobatę, z drugiej zaś sarkam. Gawęda, piosenka stwarzają szansę obecności w pięknej języku na to dzień, w każdej drużynie harcerskiej i szkolnej. Skąd jednak mają czerpać inspirację instruktorzy, którzy często pracują bez żadnych podręczników metodycznych? Nie każdy z nich jest urodzonym gwędzierzem lub też ma predyspozycje poetyczne czy kompozytorskie. Często zastęp czy drużyna obraca się w kregu ciągłej tych samych piosenek. Natomiast jakości powstających tekstów nie jest zadawalająca. Książki, śpiewniki, podręczniki metodyczne jest więc obecnie raryzatem, najbardziej poszukiwanym przez instruktorów harcerskich.

Kultura można i trzeba budować i s-powszechniać zwłaszcza tam, gdzie kontakt z teatrem, kinem, czy galerią sztuki jest ograniczony — przede wszystkim wśród środowisk wiejskich. W wielu regionach, położonych daleko od centrów kultural-

nowane z zakresu wychowania kulturalnego, jakie formy przybiera ta działalność w mieście i na wsi. Istnieją u nas bowiem regiony bardziej od innych nasycone treściami kulturalnymi. Tradycyjnie należą do nich województwa w zachodniej Polsce. Ponadto wiele wiadomości o potrzebach środowisk harcerskich zdobyliśmy, wyjeżdżając w teren. Bardzo cenne są dla nas, jak i dla samych uczestników, festiwale, które pozwalają i na skonfrontowanie osiągnięć poszczególnych zespołów artystycznych, i na wykazanie trudności, z jakimi te zespoły się borykają.

— Problemem częściej zgłaszanym przez uczestników Rady Naczelnej był brak podstawowych pomocy metodycznych. Kto ponosi odpowiedzialność za te trudności?

— Przez wiele lat nie ukazywały się żadne podręczniki metodyczne. Brakuje wartościowego repertuaru dla harcerskich zespołów. To nie jest wina samych wydawców. Organizacja powinna bliżej współpracować z twórcami. Przez lata twórcy piszący dla dzieci i młodzieży otrzymywali mniejsze honoraria, co automatycznie spowodowało puszkę na rynku wydawniczym. Trzeba więc odpowiednio zachęcić autorów do podejmowania twórczości z myślą o dzieciach i młodzieży. Tą formą zachęty powinno być m.in. wyrównanie stawek autorskich. Nikt również nie uprawia systematycznej krytyki tej twórczości. Poza „Naszymi Książkami”, recenzje literatury dla dzieci i młodzieży pojawiają się sporadycznie.

— Problemem niezwyklej wagi jest odpowiednie przygotowanie wychowawców, instruktorów i drużynowych. Jakich form przybierze szkolenie kadry odpowiedzialnej za poziom artystyczny zespołu?

— Powstające w obrębie drużyn harcerskich zespoły artystyczne najczęściej prowadzone są przez nauczycieli. Do tej pory byli oni na ogół pozbawieni pomocy. Zamierzamy im pomóc m.in. poprzez umożliwienie kontaktu z profesjonalistami, a także poprzez konfrontację z innymi zespołami artystycznymi. Będziemy np. kontynuować śródroczne spotkania w Kieleszach, które pokazują dorobek artystyczny młodzieży szkolnej. Rozpoczęliśmy też szkolenie instruktorów harcerskich. Odbędzie się ono w warszawskim teatrze „Ochota” prowadzonym przez Jana i Halinę Machulskich. Regularnie raz na kwartał odbywają się zebrania seminarijne. Poza tym wszyscy instruktorzy będą uczestniczyli w przeglądach teatralnych. W Białymostku-Białej na podobne zasadzie odbywa się Ogólnopolski Harcerski Przegląd Teatrów Lalkowych. Do tego typu kształcenia opartego na seminariach i warsztatach artystycznych przystępują stopniowo drużyny zajmujące się innymi dziedzinami sztuki: muzyka, folklor, etc. Od przyszłego roku planujemy wprowadzenie wyjazdów specjalistów na konsultacje do wszystkich ośrodków, które zgłoszą na to zapotrzebowanie. Poza szkoleniem specjalistycznym nieodzowne jest przekazanie każdemu drużynowemu minimum wiedzy i minimum umiejętności z dziedziny kultury. Szkolenie drużynowych rozpoczęliśmy na centralnych akcjach szkoleniowych ZHP, organizowanych po VII Zjeździe.

— Kto należy do organizowania takich spotkań i seminariów?

— Inicjatywa jest nie tylko po stronie Głównej Kwatery, ale po stronie instruktorów, którzy dostrzegają w niej szansę wzbogacenia metodyki i uczenia, jak korzystać z ludowych inspiracji. Istnieje też Ogólnopolski Krag Instruktorów Teatralnych ZHP, który czynnie uczestniczy w planowaniu działalności kulturalnej. Zależy nam, aby działalność kulturalna w harcerstwie była planowana przez ruch społeczny, a nie etatowych działaczy.

— Jak wykażać z dyskusji plenarnej, że piosenka harcerska nie jest najgorszą. Jakże więc powinna podjąć kroki, aby „receptować” drużyny?

— Prace wszystkich Młodzieżowa Agencja Wydawnicza wydała już śpiewniki. Ale są zróżnicowane względów nie będzie to nakład, który w pełni zaspokoił popyt. Do popularyzacji piosenek harcerskiej przyczynia się także znaczenie harcerskie czasopisma, telewizyjny magazyn harcerski „Krag”, a także audycje radiowe. Poza tym w Kieleszach powstały harcerskie kluby piosenek, które nawiązały współpracę z Polską Sekcją Międzynarodowego Stowarzyszenia Wychowania Muzycznego ISME. Przy pomocy tego stowarzyszenia tworzone będzie bank piosenek dziecięcej i młodzieżowej. Działacz ISME wystąpił też z inną cenną propozycją: do ośrodków, gdzie brakuje specjalistów w dziedzinie muzyki, samierzają wysłać jako instruktorów muzycznych swoich przedstawicieli.

— Jak Pani, jako kierownik Wydziału Kultury KG ZHP, wyobraża sobie dalszą działalność harcerskich zespołów artystycznych?

— Sądzimy, że rola harcerskich zespołów artystycznych, z reprezentacyjną „Gawędą” włącznie, nie może ograniczać się wyłącznie do występowania na estradach. Często kontakty z innymi zespołami, odzwiednianie drużyn harcerskich w różnych miastach, wyjazdy do ośrodków wiejskich — powinny wejść do statych harcerskich swychajów.

— Z racji pełnienia funkcji przewodniczącego Komisji ds. Filmów dla Dzieci i Młodzieży oraz z uwagi na zainteresowania naukowe (czego wyrazem — między innymi książkami: „Film i wychowanie”, „Kultura filmowa — wychowanie filmowe” oraz „Analiza i interpretacja utworu filmowego w szkole”) ogląda Pan niemal wszystkie filmy wchodzące na nasze ekrany. Czy pozdziela Pan dość często powtarzane zdanie, że obecnie, gdy musimy znacznie ograniczyć nasze zakupy w tej dziedzinie, nie ma właściwie na co chodzić do kina?

— Nie podzielam takiego przekonania. Repertuar jest rzeczywiście uboższy ilościowo, dotyczy to głównie filmów krajowych zachodnich, których pojawiło się w tym roku zaledwie kilkanaście, podczas gdy przedtem bywało ich w każdym roku trzy, cztery razy więcej, to znaczy około 80. Mimo ograniczeń ilościowych — mogliśmy jednak oglądać bardzo dobre filmy. Przede wszystkim legendarne już, powstałe 10 lat temu, bijące wszelkie rekordy frekwencji „Wejście Smoka”.

— Bardzo okrutne jest to „Wejście”. Wiele okrzyków, azyatycko-amerykański, bo produkcja Hongkongu i Stanów Zjednoczonych, film s gatunku kung-fu budzi jednak pewien niepokój pedagogiczny, właśnie z uwagi na ów szczególny rodzaj okrucieństwa. Ale Pan jest, a ile dobrane rozumieniem, entuzjastą „Wejścia Smoka”.

— A! entuzjastą to chyba nie. Ale film podoba mi się. To prawda, jest okrutny i okrucieństwo zawarte w tym obrazie kryje rzeczywiście pewne niebezpieczeństwo dla młodego odbiorcy, który może się z nim w jakimś sensie oswoić. Dlatego właśnie — mimo protestu niektórych krytyków — jest dozwolony od 18 lat, czyli wyznaczaliśmy mu najwyższą granicę wieku. Jeśli przyjmie się ten utwór w ramach pewnej konwencji, jest to niewątpliwie niezła rozrywka, zwłaszcza że film jest sprawnie zrobiony. Sądzę, że tego typu rozrywka nie jest szkodliwa. Ale nie hiddeny się, iż takie filmy zawierają jakiegoś walory wychowawcze. Mimo iż bohater (grany znakomicie przez niefilmowego Bruce Lee) aż kipi z ażechnością. Tu chodzi głównie o walkę Wu-Shu (to jedna ze szkół kung-fu). I właściwie tylko o walkę.

— To także, moim zdaniem, film-bajka. Także, jak „Tess”, melodramat, ale — jeżeli można tak powiedzieć — melodramat współczesny, to znaczy opowieść o zwykłych problemach szarych ludzi. To film współczesny także przez to, że jest niejako odwróceniem dotychczasowego sposobu przedstawiania tej tematyki w sztuce (nie tylko): rodzinę opuszcza tu nie mąż i ojciec, lecz żona i matka. Wiecej już sam punkt wyjścia jest interesujący. Ale nie fabuła jest tu najważniejsza, lecz poszczególne sceny tego filmu oddychające wielką prawdą życiową i psychologiczną. Jest to zastraga wspaniałej bravurowej gry Dustina Hoffmana, a także Meryl Streep występującej w roli żony. Urodą tego filmu jest to, że rzeczy zwykłe potrafiły być uniezwykłe.

— To film ciepły, nie potępiający kobiety (reżyser zgłosił wiersz książkowy, wyraźnie antyfeministyczny). Choć Benton staje wyraźnie po stronie mężczyzny, pokazuje także racje i argumenty kobiety. Bardzo interesujący jest obraz narodzin miłości ojca do syna i wartości, jaką w niej odnajduje. Najbardziej godne uwagi jest właśnie ukazanie stopniowego zbliżania się ojca do dziecka. Jego miłość osiąga apogeum, kiedy decyduje się oddać syna byłej żonie. Mówiąc krótko — „Sprawa Kramerów” to kawał współczesnego kina, które w zwykłych sytuacjach, behawioralnych zachowaniach potrafi ujawnić to, co siedzi w środku człowieka i co się w środku rozwija, to co go wzbogaca. Nie jest to psychologia, o której się mówi, ale psychologia, którą się ogląda.

— I na tym — jak rozumiem — polega wartość wychowawcza tego filmu?

— Dla mnie szczególnie interesujący — i to nie tylko z uwagi na uderzające piękno wizualne czy premlajację do głębi grę Nastazji Kinski — jest film Polakiego. Naturalnie, jest to film o miłości, ale ja odebrałam go przede wszystkim jako opowieść o najistotniejszej wartości w życiu człowieka (w tym konkretnym przypadku — głównej bohaterki Tess), o dochowaniu wierności tej wartości, o poświęceniu jej wszystkiego, nawet życia.

— To niewątpliwie jest w tym filmie, ale jeżeli miałabym się w nim szukać jakiejś filozofii czy etyki, to powiedziałabym, że jest to raczej film o roli przypadku w życiu — i o fatum. Mam tu na myśli scenę spotkania ojca Tess z pastorem, gdy-aby nie było tego spotkania, Tess pozostałaby w domu i wszystkie kolejne historie nie zdarzyłyby się.

— W op. system widzi Pan główną wartość wychowawczą tego filmu?

W 1983 roku przypada 300 rocznica swięcstwa polskiego pod Wiedniem. Z obchodami ważnych rocznic — o czym wielu z nas wie dobrze — mamy doświadczenia różna, przeważnie, niestety, nie najlepsze. Tym jednak razem mamy nadzieję, że uda się uniknąć różnych błędów propagandowych i wychowawczych. Za obchody rocznicy wictorii wiedeńskiej będzie okazją do mądrego refleksyjnego, zaprezentowanego na szerszym tle ówczesnych wydarzeń i kultury — ukazania dzieł Polski drugiej połowy XVII wieku.

Czy rzeczywiście tak się stanie, oczywiście, nie wiadomo. W każdym razie ogólnopolski program obchodów — jak się okazuje bez tego, budzące nie zawsze najlepsze skojarzenia, słowa, nie można się jednak obejść — zapowiada się sensownie. Złożą się nań sesja i sympozja naukowa, różnego typu edycje i wydawnictwa, wystawy, inne zapowiadające się interesujące imprezy.

Spośród licznych sesji planowanych i tej okazji, wzmieniemy między innymi sesję na temat „Chrześcijaństwo a islam” organizowaną przez Katolicki Uniwersytet Lubelski (a przewidziano na grudzień br.) symposium historyczno-wojskowe na temat: „Myśl wojskowa i sztuka wojenna w wojnach z Turkami” przygotowywane przez Komisję Koordynacji Nauk Historyczno-Wojskowych i Wojskowy Instytut Naukowy w Toruniu planowaną przez Towarzystwo Naukowe Toruńskie i Oddział Wojewódzki „Pax”. Centralnym spotkaniem naukowym będzie, przygotowywane przez Komitet Nauk Historycznych PAN oraz Instytut Historii PAN (a przewidziano na wrzesień przyszłego roku) sesja naukowa na temat: „Europa w dobie odzyscy wiedeńskiej”.

„WEJŚCIE SMOKA” I „AGONIA”

NA CO PÓJŚĆ DO KINA?

PYTAMY SPECJALISTĘ WYCHOWANIA FILMOWEGO DR. HENRYKA DEPTĘ

— W ukazaniu wartości silnego uczucia — miłości, która jest siłą ukierunkowującą całe działanie człowieka, siłą decydującą o jego czystości moralnej. Bohaterka zachowuje przecież, mimo zbrodni, czystość moralną. Autor powieści, w oparciu o którą Polakisi nakreślił film — Thomas Hardy, dał właśnie taki podtytuł swej książki — „Tessa d'Urberville”: czysta kobieta.

Zgadzam się natomiast z panią co do urody plastycznej tego filmu — rzeczywiście jest bardzo wysmakowany, daje bardziej przeżyte estetyczne niż wstrząs moralny.

— Wróćmy jednak do „Sprawy Kramerów”. Muszę przyznać, iż film ten, tak bardzo chwalony i nagrodzony kilkoma Oscarami, rozczarował mnie w jakimś stopniu. I to zarówno jako tak zwanego zwykłego widza (jeśli w ogóle istnieje taki widz), jak i jako pedagoga szukającego w dziele sztuki głębokiej prawdy o człowieku. Tym bardziej więc jestem ciekawa Pana opinii o tym dziele.

— To także, moim zdaniem, film-bajka. Także, jak „Tess”, melodramat, ale — jeżeli można tak powiedzieć — melodramat współczesny, to znaczy opowieść o zwykłych problemach szarych ludzi. To film współczesny także przez to, że jest niejako odwróceniem dotychczasowego sposobu przedstawiania tej tematyki w sztuce (nie tylko): rodzinę opuszcza tu nie mąż i ojciec, lecz żona i matka. Wiecej już sam punkt wyjścia jest interesujący. Ale nie fabuła jest tu najważniejsza, lecz poszczególne sceny tego filmu oddychające wielką prawdą życiową i psychologiczną. Jest to zastraga wspaniałej bravurowej gry Dustina Hoffmana, a także Meryl Streep występującej w roli żony. Urodą tego filmu jest to, że rzeczy zwykłe potrafiły być uniezwykłe.

— To film ciepły, nie potępiający kobiety (reżyser zgłosił wiersz książkowy, wyraźnie antyfeministyczny). Choć Benton staje wyraźnie po stronie mężczyzny, pokazuje także racje i argumenty kobiety. Bardzo interesujący jest obraz narodzin miłości ojca do syna i wartości, jaką w niej odnajduje. Najbardziej godne uwagi jest właśnie ukazanie stopniowego zbliżania się ojca do dziecka. Jego miłość osiąga apogeum, kiedy decyduje się oddać syna byłej żonie. Mówiąc krótko — „Sprawa Kramerów” to kawał współczesnego kina, które w zwykłych sytuacjach, behawioralnych zachowaniach potrafi ujawnić to, co siedzi w środku człowieka i co się w środku rozwija, to co go wzbogaca. Nie jest to psychologia, o której się mówi, ale psychologia, którą się ogląda.

— I na tym — jak rozumiem — polega wartość wychowawcza tego filmu?

PRZED ROCZNICĄ VICTORII WIEDEŃSKIEJ

Na jej program słoń się między innymi referaty i wystąpienia przedstawiające Polskę drugiej połowy XVII wieku w najróżniejszych aspektach: politycznym, społecznym, gospodarczym i kulturalnym; w-kamujące samą odświeżoną wiedzę na szeregokim te stosunków międzynarodowych, a także jej odzwierciedlenie — w historii-arti, literaturze pięknej i sztuce. Sesja ta, w której ważną udział także liczni historycy zagranicą, ma się odbyć w Wilanowie i Krakowie. Ciekawie zwłaszcza zapowiadają się wystawy. I tak Państwowe Zbiory Sztuki na Wawelu i Muzeum Narodowe w Krakowie przygotowują centralną wystawę „Kampania wiedeńska 1683”, która będzie ekspozowana w Zamku Królewskim na Wawelu; Muzeum Narodowe w Wilanowie — ekspozycje „Ślawa i chwala Jana III w sztuce i literaturze”; Zamek Królewski w Warszawie — we współpracy z Archiwum Głównym Akt Dawnych i Biblioteką Narodową — wystawa „Receptopolita w dobie Jana III”; Biblioteka Uniwersytecka w Warszawie — ekspozycje „Sobieszcianość” w zbiorach tej placówki, a Muzeum Wojska Polskiego — wystawę o-kolicznościową. Możemy także liczyć, tak przynajmniej wynika z ogólnopolskiego programu, na sporo cennych i interesujących publikacji. I to o bardzo różnym charakterze. Jeśli chodzi o przewidywane opracowa-

ga, zdaniem Pana, wartość moralna i poznawcza tego filmu.

— Tak, przede wszystkim na tym. Zaś reasumując dotychczasowe refleksje, chciałbym jeszcze raz podkreślić, iż w czasie filmowej posuchy pojawiły się aż trzy filmy głośne i kasowe. A przecież nie zawsze tak się zdarzało, w okresie — nazywamy to tak — normalnego repertuaru; nie zawsze mogłem wybrać wówczas takie trzy filmy, które trzeba koniecznie obejrzeć, a które zdobyły jednocześnie masową widownię.

— Zgoda. Są to filmy szczególnie głośne, filmy cieszące się dużym zainteresowaniem, zwłaszcza młodych widzów, ale przecież wyraźnie rozrywkowe, choć rozrywka jest tu na najwyższym poziomie. Jakże poza tym filmy z obecnego repertuaru poleciały Pan szczególnie naszym czytelnikom?

— O tym, iż repertuar obecny nie jest wcale tak kiepski, jak to się na pozór wydaje, świadczy i ten fakt, że w tym roku pojawiło się na naszych ekranach kilka filmów, które dostarczą zarówno ogromnej satysfakcji artystycznej, jak i intelektualnej (bo, naturalnie, „Tess” i „Sprawa Kramerów” to pozycje rozrywkowe). Jakże to filmy? Dwa utwory znanych mistrzów kina: „Sobowótór” Kurosawy i „Wujaszek z Ameryki” Alaina Resnais oraz dwa filmy mniej znanych reżyserów, ale równie wybitne: amerykański „Wystarczy być” w reżyserii Hala Ashby i radziecki „Agonia” Yezema Klimowa. Myślę, że te dwa ostatnie filmy — mimo iż powstały w różnych kręguach kulturowych — mają pewną właściwość wspólną: obydwa pokazują ludzi enikąd, którzy nagle zaczynają odrywać ważną rolę polityczną. W „Agonii” — Grigorij Rasputin — szara emincencja carskiego dworu; w „Wystarczy być” (filmie nakreconym według powieści Amerykanina polskiego pochodzenia, Jerzego Koscińskiego) — człowiek bez nazwiska, który staje się doradcą prezydenta Stanów Zjednoczonych, zaś później — jak możemy się domyślać — zajmuje jego miejsce. Te dwa filmy mówią bardzo wiele o systemach sprawowania władzy, a więc o kwestiach, które nas dziś szczególnie obchodzą.

— Dla mnie interesująca jest zwłaszcza „Agonia” — zarówno ze względu na intrygującą postać Rasputina, nazywanego szatanem swej epoki, jak i na próbę innego — choć kontrowersyjnego, jak to się dziś najczęściej określa — spojrzenia na historię. I chyba trochę szkoda, że film jest dozwolony od lat 16, choć podejmując, ważkie argumenty natury emocjonalnej, intelektualnej i wychowawczej, by tak właśnie zdecydować.

— Chyba tak. Muszę jednak wyznać, iż w niektórych przypadkach, zwłaszcza zaś wówczas, gdy mamy do czynienia z dziełem wybitnym, decyja o najwyższej granicy wieku — jakkolwiek zawsze uwarun-



Aleksiej Pietrenko w roli Rasputina
Fot. N. Nikolski

kowana ważnymi względami wychowawczymi — podejmowana jest przez nas z niemalym żalem. No cóż, problem wyboru nigdy nie jest łatwy...

— A filmy polskie, o których jeszcze nie wspominaliśmy. Jakże pozycje naszych widzów, wyświetlane obecnie na ekranach, rekomendowałby Pan szczególnie wychowawcom?

— Wprowadził filmów polskich pojawiło się w tym roku niewiele, ale przynajmniej dwa z nich należy zobaczyć koniecznie. Mam tu na myśli „Dolne Issy” Konwieckiego według powieści Miłosza oraz „Konopielka” Witolda Leszczyńskiego powstałą na podstawie książki Redlińskiego. Sądzę, że i dia tych filmów można znaleźć wspólny mianownik — obydwa nawiązują bowiem do pewnych młodych, pewnych tradycji kulturowych, pokazują — szczególnie „Konopielka” — zmiany, jakie w tych kulturach następują.

— W „Dolnie Issy” nie chodzi tylko o unikalne odrębność kulturowe i obyczajowe, chodzi chyba także o rzecz znacznie głębszą, dotyczącą ludzkiego losu i przemian, istoty natury ożłowieka...

— Można, oczywiście, odbierać ten film również jako dzieło ukazujące pewne archetypy — i wtedy to, co on ukazuje, będzie wspólne dla każdej szerokości geograficznej. W postaci Baltazara wielu młodych ludzi może np. odnaleźć własną walkę wewnętrzną. Dla mnie film Konwieckiego to baśń filozoficzna o ciągłej aktualności. Podobnie jak w baśni, że szczególnie wyrazistość występuje tu zderzenie dobra i zła, życia i śmierci. Ale to jednocześnie baśń wyrażająca tęsknotę za naszą wewnętrzną Dolną Issą, za utraconym rajem — ale i piekłem — własnego dzieciństwa.

— Jakże poza tym filmy polskich twórców chciałyby Pan zwłaszcza — mówiąc szczerze — nie tylko polskie, trudno w ogólnym zarysku w jednej rozmowie — polecić naszym czytelnikom, spoglądającym z racji swej profesji, na dzieło sztuki w specyficzny sposób?

— Zawsze bardzo chętnie służę. Rozmawiała: HENRYKA WITALEWSKA

— Pragnę ponadto zwrócić uwagę na dwa filmy, które wejdą na nasze ekrany dopiero w początkach przyszłego roku. To „Austeria” Kawalerowicza według powieści Strykowskiego — film, można powiedzieć, egzystencjalny, ukazujący człowieka w tzw. sytuacjach ostatecznych, w których musi dokonać wyboru potwierdzającego jego człowieczeństwo (wspaniały jest tu w roli głównej Franciszek Pieczka).

I „Limuzyna Daimler-Benz” Filipa Bajona — film o młodych ludziach, którzy także stają w obliczu wyboru, w tym konkretnym przypadku — wyboru swojej tożsamości narodowej. Jest to film o sile moralnej człowieka i o jego słabości, o tym, jak te słabości próbuje się ukryć pod maską agresji i okrucieństwa...

— O ile pamiętam — „Limuzyna” została nagrodzona w bieżącym roku na Koszalińskich Spotkaniach Filmowych „Młodzi i film”, w których to spotkaniach uczestniczy Pan od samego początku, pełniąc funkcję kierownika nauowego, t.j. szczególnie cennej, właśnie z wychowawczego punktu widzenia, imprezy.

— Zgadza się. Rzeczywiście, film Bajona zdobył już w Koszalinie najwyższą nagrodę: Wielkiego Jantara. A Koszalińskie Spotkania to istotnie impreza filmowa szczególnie bliska pedagogom. Już samo jury różni się tu diametralnie od jury innych festiwali — składa się bowiem nie z profesjonalistów, ale z przedstawicieli różnych środowisk prezentujących widownię kinową, m. in. z nauczycieli, uczniów szkół średnich, młodzieży pracującej.

— Dziękuję za rozmowę, pragnę jednocześnie wyrazić nadzieję, że jeszcze nie raz usłyszę Pan porozmawiać z „Głosem Nauczycielskim” — zarówno o stanie edukacji filmowej w naszym kraju, co tak żywo Pana interesuje, jak i bieżącym repertuarze kin. By zwrócić uwagę wychowawców na filmy godne ich specjalnej uwagi. Tak z racji walorów artystycznych, jak i szczególnych wartości moralnych, intelektualnych, poznawczych.

— Zawsze bardzo chętnie służę. Rozmawiała: HENRYKA WITALEWSKA

Będzie to przede wszystkim olimpiada historyczna dla młodzieży szkolnej na temat XVII-wiecznej Polski i na tym tle — odświeżyć wiedeńskiej oraz centralna sesja popularyzacyjna dla nauczycieli-historyków (a także sesje terenowe). Przewidziane są ponadto uroczystości związane z nadaniem kilku szkółom (między innymi jednej ze szkół warszawskich) imienia Jana Sobieskiego oraz ciekawe imprezy w szkołach noszących już imię króla Jana.

Niezależnie od uczestniczenia w programie ogólnopolskim, resort oświaty przygotował — wespół z placówkami podlegającymi mu organizacyjnie bądź współpracującymi z nim szczególnie blisko — własny program obchodów tak ważnej z wychowawczego punktu widzenia, rocznicy. Obejmuje on między innymi organizowanie różnorodnych seminariów i konferencji dla dyrektorów szkół, nauczycieli historii, języka polskiego i plastyki; przygotowanie specjalnej filioleki, zestawów zdjęć, albumów i ilustracji o tematyce polowej XVII wieku oraz na interesującą publikację z zakresu sztuki. Między innymi na album „Wilanów — rezydencja króla zwycięzcy” oraz serie reprodukcji pocztówkowych ukazujące zdołbycze spod Wiednia; namięty wschodnie, chorągwie tureckie, kobiece perskie, a także reprodukcje malarstwa ze zbiorów europejskich. Przewiduje się też wydanie serii znaczków pocztowych poświęconych rocznicy oraz kilka krótkich filmów dokumentalnych (z planowanego wcześniej, szeroko zakrojonego, parodokumentalnego filmu o „Odzyscy wiedeńskiej”), który według wstępnych obliczeń miał kosztować 350 mln złotych, zsumie zrezygnowano).

W planach znajdują się także liczne wydawnictwa popularyzacyjne, między innymi skrócona wersja monografii naukowej J. Wimmera „Odzyscy wiedeńska 1683 r.”, „Zwycięstwo pod Wiedniem” — praca zbiorowa historyków polskich i austriackich, przygotowywana przez Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne oraz Bundesverlag w Wiedniu (w wersji polskiej i niemieckiej).

Możemy także liczyć, tak przynajmniej wynika z ogólnopolskiego programu, na sporo cennych i interesujących publikacji. I to o bardzo różnym charakterze. Jeśli chodzi o przewidywane opracowa-

ZWIĄZEK - PRZED STARTEM

WOLNIEJ LECZ PRECYZYJNIEJ

Rozmowa z CZESLAWEM BARANOWSKIM, sędzią Sądu Wojewódzkiego w Piotrkowie Trybunalskim

— W końcu października br. do waszego sądu wpłynęły wnioski o rejestrację Związku Nauczycielstwa Polskiego w Tomaszowie Mazowieckim i Związku Nauczycielstwa Polskiego w Piotrkowie Tryb. Jaką procedurę przyjął Sąd Wojewódzki przy rozpatrywaniu tych wniosków i kiedy należałoby oczekiwać rejestracji?

— Przepisy przewidują możliwość załatwienia rejestracji na posiedzeniu niejawnym, bez udziału zainteresowanych. Dotyczy to oczywiście przypadków, gdy wniosek o rejestrację złożony w sądzie nie zawiera braków formalnych i — jeśli chodzi o załączony statut — nie nasuwa zastrzeżeń w aspekcie jego zgodności z ustawą sejmową o związkach zawodowych i innymi przepisami prawa.

Stosowne przepisy ustawy o związkach zawodowych — jak wiadomo — zakreślają sądom wojewódzkim termin jednolitej decyzji dla załatwienia wniosku, to jest wydania konkretnej decyzji. Nie oznacza to, że termin ów nie może być skrócony w toku postępowania sądowego. Mogę zapewnić, że Sąd Wojewódzki w Piotrkowie Trybunalskim będzie zainteresowany, aby składane wnioski rozpatrywać niezwłocznie. Niestety, w przypadku obu wspomnianych wniosków zmuszony byłem, jako sędzia, specjalnie oddelegowany do postępowania w tym względzie, wskazać na istotne braki, które w przypadku wniosku z Tomaszowa Mazowieckiego uniemożliwiły rejestrację, zaś w odniesieniu do wniosku z Piotrkowa Trybunalskiego spowodowały opóźnienie samej rejestracji. Zakładałem, że nauczyciele piotrkowscy, których przedstawiciele do komitetu założycielskiego ZNP składali wniosek, zechcą go szybko — w określonym terminie — uzupełnić. Gdy to uczyniono — przeszkody ustąpiły.

— Na jakie zatem wymogi muszą zwrócić uwagę komitety założycielskie związków w pionie oświaty? Co może utrudnić postępowanie sądowe w toku rozpatrywania ich wniosków o rejestrację, a co wpływa na przyspieszenie procedury? Czy mógłby pan zilustrować to przykładami z obu wspomnianych wyżej wniosków?

— Zgodnie z ustawą o związkach zawodowych z 8 października, odnośną uchwałę Rady Państwa z 12 października br. oraz rozporządzeniem Rady Ministrów z 15 października br. związek zawodowy zakłada pracownicy danego zakładu pracy, zwani założycielami. Podejmują oni, na zebraniu założycielskim, uchwałę o założeniu związku, wybierają komitet założyciel-

ski oraz uchwalają statut. Wiadome już powszechnie, że każdy taki komitet jest uprawniony do dokonywania czynności związanych z rejestracją związku (może on również upoważnić do tego określoną osobę). W celu zarejestrowania związku zainteresowani powinni złożyć wniosek o rejestrację związku zawierający: nazwę związku, jego siedzibę, informację co do liczby założycieli, imiona i nazwiska oraz adresy członków komitetu założycielskiego oraz — jeśli takie powołano — osób upoważnionych do starań o rejestrację. Do wniosku należy załączyć uchwałę założycieli o założeniu związku oraz jego statut — w dwóch egzemplarzach ze wskazaniem daty jego uchwalenia. Przypomnę, iż przepisy ustawy o związkach zawodowych przewidują możliwość tworzenia do 31 grudnia 1983 r. tylko zakładowych organizacji związkowych, a zatem we wniosku o rejestrację musi znajdować się — obok miejscowości — również nazwa zakładu pracy, przy którym powstaje ZNP czy inny związek zawodowy.

Tymczasem wspomniany wyżej wniosek z Tomaszowa Mazowieckiego nie zawierał wskazania zakładu pracy (natomiast podano jedynie określenie „pracownicy placówek oświaty i wychowania miasta Tomaszowa Mazowieckiego”, co — jako sformułowanie nieprecyzyjne — nie pozwala na identyfikację zakładu pracy). Dołączona do tego wniosku uchwała o założeniu ZNP nie mogła być przez sąd traktowana jako uchwała założycieli związku, gdyż wyciąg z protokołu zebrania, zawierający tę uchwałę, świadczy o tym, iż podejmował ją jedynie komitet założycielski, a nie ogół założycieli. Jest to wymóg ogromnie ważny, wręcz niezbędny, od którego, żaden sąd wojewódzki odstąpić nie może: sam komitet w myśl ustawy nie posiada bowiem uprawnień do podejmowania uchwały o założeniu związku. Podkreślam zatem ponownie, że tylko ogólne zebranie wszystkich założycieli może taką uchwałę podjąć i jedynie ona stanowi dla sądu wojewódzkiego jedną z podstaw decyzji o rejestracji.

Uwagi nasuwa — w przypadku wniosku z Tomaszowa Mazowieckiego — również załączony statut, bowiem np. nie zawierał on wskazania siedziby związku, a poza tym — co znacznie ważniejsze — nigdzie nie odnotowano we wniosku, iż statut ów został przyjęty uchwałą ogółu założycieli związku. Również od tego wymogu prawa żadnemu sądowi wojewódzkiemu odstąpić nie wolno.

W świetle podanych wyżej braków, jak już wspomniałem, wniosek o rejestrację ZNP w Tomaszowie Mazowieckim musiał zostać zasadniczo uzupełniony. Chciałbym zaznaczyć, iż — być może — pośpiech w sporządzaniu tego wniosku — uniemożliwił nauczycielom tomaszowskim jego dopracowanie. Sąd wojewódzki poinformował zainteresowanych o wyznaczeniu terminu posiedzenia, podczas którego już przedstawiłem temu komitetowi założycielskiemu zastrzeżenia sądu zakreślające termin usunięcia wspomnianych braków. Jest jasne, że im szybciej zostaną one usunięte — tym krócej — powiedziałem — czekać będziecie na rejestrację ZNP w Tomaszowie Mazowieckim. Nie chodzi przy tym — podkreślam — o uniemożliwienie tworzenia ZNP w danym mieście czy gminie, jednak obok nazwy miasta wymagamy podawania „przy Wydziale Oświaty Urzędu Miejskiego”.

Ta ostatnia uwaga nie odnosi się akurat do wniosku z Piotrkowa Trybunalskiego, bowiem podano tu „Związek Nauczycielstwa Polskiego w Piotrkowie Trybunalskim przy Wydziale Oświaty i Wychowania”, uzupełnić trzeba było — już na posiedzeniu — że chodzi o wydział Urzędu Miejskiego. Natomiast identycznie — jak w przypadku nauczycieli z Tomaszowa Mazowieckiego — zastrzeżenie nasuwa się sądowi w odniesieniu do formy uchwalenia przedstawionego przez piotrkowian statutu ZNP. Nigdzie bowiem i tutaj nie zaznaczono, że uchwalili ów statut wszy-

scy założyciele związku. (Znajduje się na tym dokumencie jedynie niepełna — dla sądu — adnotacja iż „statut przyjęto 25 października 1982 r.”).

— Jakże stąd wnioski dla komitetów założycielskich?

— Przede wszystkim ten, że procedurę rejestracji zawsze, w każdym konkretnym przypadku, przyspieszać będzie precyzyjne opracowanie dokumentów wymaganych przez sąd wojewódzki, zgodnie z ustawą i stosownymi aktami wykonawczymi. Chciałbym też wskazać, iż przy Urzędzie Wojewódzkim został — jak w całym kraju — powołany w Piotrkowie Trybunalskim zespół informacyjno-doradczy, którego pomoc prawną dla założycieli wszystkich związków, w tym i ZNP, może być — jak sądzę — nader cenna. Należy założyć, że wnioskodawcy z wyżej wskazanych komitetów założycielskich nie skorzystali z tej pomocy. Wiadomo mi, że w zespole, o którym tu mowa, działają prawnicy. W przypadku, gdyby i oni mieli jakiegokolwiek wątpliwości co do interpretacji przepisów, to odpowiednia sekcja sądu wojewódzkiego i ja osobiście nie uchylamy się od niezbędnych wyjaśnień na temat wymogów prawa, obowiązujących przy rejestracji wniosków komitetów założycielskich.

Nadmienię jednak, iż organem upoważnionym do wyjaśniania różnic w interpretacji przepisów itp. w tym względzie jest przede wszystkim Społeczna Komisja Konsultacyjna przy Radzie Państwa.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
JANUSZ TRZCIANKA

CZEKA NAS WIELE PRACY

Jest 26 października. Właśnie odbywa się kolejne zebranie komitetu założycielskiego związku zawodowego przy Zbiorczej Szkole Gminnej w Bielsku Podlaskim. W jednej z klas zebrało się ponad 10 nauczycieli z kilku szkół gminy. Dyskują nad przyszłym kształtem nowego związku w oświacie. Analizują proponowany statut. Po pewnym czasie dochodzą jednak do wniosku, że wspólne czytanie go strona po stronie nie da. Są zmęczeni całodzienną pracą z dziećmi. Postanawiają przeanalizować projekt statutu indywidualnie, w domu, by potem zatwierdzić go po wstąpieniu poprawek na następnym spotkaniu. Wybierają również czterosem osobowy zespół — na czele z Eugeniuszem Chilkiewiczem — nauczycielem Szkoły Podstawowej w Bioskach, który będzie zajmował się wszystkimi formalnościami związanymi z rejestracją związku.

Opracowany projekt statutu został podany pod dyskusję we wszystkich szkołach (do 15 listopada). Po wnieśnięciu poprawek i uwag wybrany zespół przystąpi do rejestracji związku w Sądzie Wojewódzkim w Białymstoku.

Na 143 pracowników Zbiorczej Szkoły Gminnej w Bielsku Podlaskim do przyszłego związku zapisały się 133 osoby. Jak do tego doszło? W zasadzie nie robiono nic na siłę, ale podjęto konkretne prace, które przyniosły efekty. Powołano 15-osobową grupę inicjatywną do organizacji związku

pracowników oświaty w gminie. W jej skład weszli przedstawiciele prawie wszystkich szkół z terenu gminy. Spotykali się niejednokrotnie z pracownikami szkół, wyjaśniali potrzebę tworzenia własnego związku, organizacji, w której sami związkowcy będą decydować o wszystkim. Jest przecież wiele spraw, którymi związek będzie się musiał natychmiast zająć. (Piszalimy o tym w poprzednim numerze prync. red.).

W końcu października zorganizowano spotkanie całej załogi Zbiorczej Szkoły Gminnej. Wzięli w nim bardzo liczny udział nauczyciele, pracownicy administracji i obsługi szkół. Ustalono, że będzie on nosił nazwę Związek Nauczycielstwa Polskiego. Wybrano kilkunastoosobowy komitet założycielski, który z miejsca przystąpił do aktywnej pracy.

— Nie wywieraliśmy żadnej presji na pracowników oświaty naszej gminy — mówi Eugeniusz Chilkiewicz. Wszyscy z własnej woli wpisali się na listę. Uważam, że w naszym związku nie powinno być ludzi nieprzekonanych do naszej działalności, tym bardziej że przyszłych działaczy związku czeka wiele pracy. I będą się z nią musieli uporać, aby przekonać tych, którzy do nas jeszcze nie wstąpiłi, że jesteśmy związkiem prężnym, zdolnym do działania, realizującym postulaty całej załogi.

WIESŁAW FALKOWSKI
Bielsk Podlaski

NA CO LICZYMY?

Sądzę, że chyba wszyscy w naszym mieście zgadzają się na to, aby nauczycielski związek zawodowy przybrał tradycyjną nazwę ZNP. Nie zgadzamy się jednak, aby do jego władz przeniknęli — w przyszłości — ci sami ludzie, co przed rokiem 1980. Pamiętamy bowiem niektórych spośród dawnych „aktywistów”, typowanych nieraz przez władze polityczne czy administracyjne. Wiemy, jak ich wybierano. Nie chcemy również, aby do związku, a ściślej mówiąc, do jego władz, dostali się krzykacze i pochlebcy. Związek nie może również być opanowany przez dyrektorów i ich zastępców. Takie praktyki znane są z przeszłości. Związek powinien zawsze bronić „szarego nauczyciela” przed wszechwładzą niektórych dyrektorów, przed kumoterstwem i klikowością. Wybory związkowe powinny wyeliminować ludzi mało przydatnych, a czatujących na jakiegokolwiek stanowisko. Praca szkolna ulegnie poprawie, gdy atmosfera w gronach nauczycielskich będzie nacechowana życzliwością, a wiara w skuteczność działania nowego związku stanie się — w oparciu o fakty — powszechna.

Związek powinien między innymi umacniać więź z kolegami emerytami. W obecnej dość trudnej sytuacji kadrowej szkół warto włączyć do pracy dodatkowej i tych nauczycieli. Ich doświadczenie pedagogiczne i dydaktyczne powinno być wykorzystane. Nieporozumieniem jest w tej sytuacji obecnie obowiązujący zakaz zatrudnienia w szkołach nauczycieli, którzy przeszli na wcześniejszą emeryturę. Oni mogą przecież pracować, chociaż już nie tak dużo, ale jeszcze dobrze. Dajmy im tę szansę, niech zabiega o to w przyszłości ZNP.

W działalności związku przypisujemy wszyscy poważną rolę „Głosowi Nauczycielskiemu”, który w czasie zawieszania naszej organizacji dobrze służył sprawie nauczycieli, między innymi domagając się kategorycznie pełnej realizacji Karty Nauczyciela.

Na zakończenie chciałabym wspomnieć, iż nauczyciele emeryci pragnęli w przyszłości mieć, tak jak dawniej, swoją własną organizację związkową. Wielu z nich straciło kontakt ze szkołami, na przykład na skutek zmiany miejsca zamieszkania. Z drugiej strony należy zauważyć, że nie wszystkie szkoły dbają o swych dawnych pracowników. Nauczyciele wiążą duże nadzieje z aktywnością odradzającego się ZNP (bo właśnie tak obecny organizacyjny proces rozumiemy). Ufamy jednocześnie, że związek nas nigdy nie zawiedzie.

SABINA GROCHOCIŃSKA
Świecie nad Wisłą
wej. bydgoskie

W woj. piotrkowskim powstają coraz liczniej grupy inicjatywne spośród pracowników oświaty pragnących zorganizować ZNP. Na przykład w Tomaszowie Mazowieckim grupa liczy ponad 500 osób (związek zarejestrowano 16 bm.), w Woli Krzysztoporskiej ponad 100, w Grabicy około 70. Powstały również grupy inicjatywne w Radomsku i Bełchatowie. W samym Piotrkowie Trybunalskim zgłosiło już akces 360 pracowników oświaty i wychowania. Na zdjęciu: kilku członków grupy inicjatywnej ZNP w Piotrkowie (od lewej): Teresa Skurska, Joanna Jurek, Barbara Rybicki, Maria Russocka i Bogdan Najmrodzki. (Ich związek został w sądzie zarejestrowany 18 bm.).



PRZEPISY WYKONAWCZE DO KARTY (15)

ZARZĄDZENIE
MINISTRA OŚWIATY I WYCHOWANIA
z dnia 30 lipca 1982 r.

w sprawie szczegółowych zasad i warunków oraz trybu uzyskiwania przez nauczycieli stopni specjalizacji zawodowej

Na podstawie art. 46 ust. 2 ustawy z dnia 26 stycznia 1982 r. Karta Nauczyciela (Dz. U. nr 3, poz. 19) zwanej dalej Kartą, zarządza się, co następuje:

§ 1. 1. Nauczyciel mianowany, o którym mowa w art. 1 pkt 1-5 Karty, może uzyskać stopnie specjalizacji zawodowej, jeżeli:

- osiąga wyróżniające wyniki w pracy dydaktycznej, wychowawczej i opiekuńczej,
- systematycznie doskonali swoje kwalifikacje zawodowe.

2. Ustala się trzy stopnie specjalizacji zawodowej, których uzyskanie jest uzależnione od spełnienia wzrastających wymagań we wszystkich dziedzinach działalności nauczycielskiej.

§ 2. Pierwszy stopień specjalizacji zawodowej może uzyskać nauczyciel, który:

- uzyskał wyróżniającą ocenę pracy zgodnie z art. 6 ust. 2 Karty,
- pracował w zawodzie nauczycielskim co najmniej pięć lat,
- podniósł swoje kwalifikacje naukowo-pedagogiczne, kończąc odpowiednią, zorganizowaną instytucjonalnie formę doskonalenia zawodowego.

4. Osiąga wyróżniające wyniki w pracy dydaktycznej i wychowawczo-opiekuńczej, kształtuje pożądane społecznie postawy, dąży do wszechstronnego rozwoju osobowości uczniów, rozbudza i rozwija ich zainteresowania oraz aktywność społeczną, współpracuje z rodzicami w procesie organizowania warunków wychowawczych przez dom rodzinny.

5. Uzyskał wyróżniającą ocenę wizytowanych lekcji — zajęć wychowawczych wystawianą przez zespół specjalistyczny (przedmiotowy).

6. Złożył przed wojewódzką (międzywojewódzka) komisją kwalifikacyjną egzamin specjalizacyjny z wynikiem pozytywnym.

§ 3. Drugi stopień specjalizacji zawodowej może uzyskać nauczyciel, który:

- uzyskał pierwszy stopień specjalizacji zawodowej,
- ukończył wyższe studia magisterskie,
- uzyskał wyróżniającą ocenę wizytowanych lekcji — zajęć wychowawczych wystawianą przez zespół specjalistyczny (przedmiotowy),
- ukończył w systemie doskonalenia zawodowego kolejne studium podyplomowe (inne równorzędne studium, kurs),
- spełnił wymogi określone w § 2 pkt 1, 4 i 5 a ponadto wykazał się osiągnięciami w trzech następujących dziedzinach działalności:

a) współpracując z oddziałem doskonalenia nauczycieli i nauczycielem metodykiem, upowszechniał swoje doświadczenia pedagogiczne wśród kolegów w zespole samokształceniowym lub w radzie pedagogicznej prowadząc zajęcia lub lekcje „otwarte”, prezentując „wzorcowe rozkłady materiału programowego”, przedkładając konspekty praktycznych rozwiązań tematów lekcyjnych lub innych zajęć z młodzieżą itp.

b) prowadził przez okres co najmniej trzech lat kółko przedmiotowe albo zainteresowań, prowadził drużynę zuchową lub harcerską, sprawował opiekę nad samorządem szkolnym, organizacją młodzieżowymi lub organizacjami społecznymi prowadzącymi działalność wśród młodzieży (ZMS, ZHP, PCK, LOK, TPRP, LOP itp.) i działalność ta uzyskała pozytywną ocenę rady pedagogicznej, organu bezpośrednio nadzorującego szkołę i władz nadrzędnych tych organizacji.

c) doprowadził do centralnego szczebla olimpiady przedmiotowej (technicznej albo artystycznej) lub konkursu, turnieju itp. przynajmniej jednego ucznia, a w przypadku nauczyciela szkoły podstawowej przynajmniej dwóch jego uczniów było laureatami konkursu, przedmiotowego szczebla wojewódzkiego.

d) brał udział w pedagogizacji rodziców, wygłaszając przynajmniej sześć pogadanek na zebraniach rodzicielskich w dwóch ostatnich latach poprzedzających wystąpienie o nadanie stopnia specjalizacji zawodowej.

e) sprawował przez okres co najmniej dwóch lat stałą opiekę nad nauczycielem rozpoczynającym pracę, względnie nad kandydatem na nauczyciela w czasie jego praktyki pedagogicznej.

f) kierował z pozytywnymi efektami pracą zespołu metodycznego (samokształceniowego) przez okres co najmniej dwóch lat,

g) brał twórczy udział w eksperymentach naukowych lub badaniach wdrożeniowych w zakresie programów nauczania lub środków dydaktycznych, względnie w dziedzinie wychowawczej, pedagogiki opiekuńczej itp.

h) opracował lub współtworzył w opracowaniu zespołowym nowych programów nauczania lub podręczników szkolnych,

i) opracował przynajmniej dwa pomysły (wnioski) racjonalizatorskie, których realizacja przyczyniła się do wzrostu efektów szkoleniowo-produkcyjnych względnie zaprojektował i wykonał przynajmniej trzy pomoce dydaktyczne.

j) uzyskał jedną z trzech pierwszych nagród w konkursie okręgowym na odczyt pedagogiczny lub nagrodę w konkursie centralnym, ewentualnie opublikował co najmniej dwie prace (artykuły) z dziedziny pedagogicznej,

k) uzyskał wyróżnienie lub nagrodę Krajowej (Wojewódzkiej) Rady Postępu Pedagogicznego.

§ 4. Trzeci stopień specjalizacji zawodowej może uzyskać nauczyciel, który:

- uzyskał drugi stopień specjalizacji zawodowej,
- spełnił warunki określone w § 3 pkt 1, 4, 6 i w § 3 pkt 2 i 3,
- ukończył w systemie doskonalenia zawodowego kolejne studium podyplomowe (inne równorzędne studium, kurs) lub uzyskał dodatkowe

normowane studium, kurs) lub uzyskał dodatkową specjalność, ewentualnie uzyskał stopień naukowy doktora.

4) wykazał się dalszymi osiągnięciami w dziedzinach działalności wymienionych przy zdobywaniu drugiego stopnia specjalizacji zawodowej lub w trzech innych wymienionych w § 3, pkt 5) lit. a-k.

§ 5. 1. Pierwszy i drugi stopień specjalizacji zawodowej nadaje wojewódzka (międzywojewódzka) komisja kwalifikacyjna, działająca przy odpowiednim terytorialnie oddziale doskonalenia nauczycieli Instytutu Kształcenia Nauczycieli im. Wł. Spasowskiego w Warszawie, zwanego dalej Instytutem.

2. Przewodniczącemu wojewódzkiej (międzywojewódzkiej) komisji kwalifikacyjnej powołuje minister oświaty i wychowania na wspólny wniosek kuratora (kuratorów) oświaty i wychowania i dyrektora Instytutu, a jej członków dyrektor Instytutu na wspólny wniosek kuratora (kuratorów) oświaty i wychowania i dyrektora oddziału doskonalenia nauczycieli Instytutu.

3. Na przewodniczącą wojewódzkiej (międzywojewódzkiej) komisji kwalifikacyjnej może być powołany pracownik naukowy przynajmniej ze stopniem naukowym doktora, który wykazuje się co najmniej pięcioletnim stażem pracy nauczycielskiej.

4. W skład Komisji oprócz przewodniczącego wchodzi:

- przedstawiciele kuratorium oświaty i wychowania,
- przedstawiciele właściwego terytorialnie oddziału doskonalenia nauczycieli Instytutu,
- wybitni przedstawiciele praktyki oświatowej i środowisk naukowych,
- przewodniczący lub upoważniony przez niego członek zespołu specjalistycznego (przedmiotowego).

Przy nadawaniu stopnia specjalizacji zawodowej nauczycielom przedmiotów teoretycznych i praktycznej nauki zawodu w szkołach zawodowych prowadzonych przez innych ministrów w skład komisji wchodzi ponadto przedstawiciel właściwego terenowego organu administracji państwowej stopnia wojewódzkiego lub ministra sprawującego bezpośredni nadzór nad daną szkołą zawodową.

§ 6. 1. Wojewódzka (międzywojewódzka) komisja kwalifikacyjna nadaje stopnie specjalizacji zawodowej na podstawie dokumentów przygotowanych przez zespół specjalistyczny (przedmiotowy) i na podstawie wyniku egzaminu.

2. Zespoły specjalistyczne (przedmiotowe) powołuje przewodniczący wojewódzkiej (międzywojewódzkiej) komisji kwalifikacyjnej w porozumieniu z kuratorem (kuratorami) oświaty i wychowania i dyrektorem oddziału doskonalenia nauczycieli Instytutu.

3. W skład zespołu specjalistycznego (przedmiotowego) wchodzi:

- nauczyciel metodyk przedmiotowy (wizytator metodyk), a w odniesieniu do niektórych przedmiotów zawodowych — przewodniczący odpowiedniej komisji przedmiotowej lub kierownik warsztatu szkolnego,
- dyrektor (zastępca dyrektora) szkoły, w której zatrudniony jest nauczyciel ubiegający się o stopień specjalizacji zawodowej,
- pracownik naukowy oddziału doskonalenia nauczycieli Instytutu, względnie nauczyciel akademicki szkoły wyższej.

4. Zespoły specjalistyczne (przedmiotowe) przygotowują wstępne wnioski o nadanie stopnia specjalizacji zawodowej na podstawie dokumentacji i wizytowanych zajęć prowadzonych przez nauczyciela.

§ 7. 1. Trzeci stopień specjalizacji zawodowej nadaje Główna Komisja Kwalifikacyjna działająca przy Instytucie.

2. Przewodniczącemu i członków Głównej Komisji Kwalifikacyjnej powołuje minister oświaty i wychowania na wniosek dyrektora Instytutu.

3. Na przewodniczącą Głównej Komisji Kwalifikacyjnej może być powołany pracownik naukowy zajmujący stanowisko profesora lub docenta.

4. W skład Głównej Komisji Kwalifikacyjnej wchodzi ponadto:

- dyrektor Instytutu lub jego zastępca,
- przedstawiciele Ministerstwa Oświaty i Wychowania,
- przedstawiciele środowisk nauczycielskich i naukowych.

Przy nadawaniu stopnia specjalizacji zawodowej nauczycielom przedmiotów teoretycznych i praktycznej nauki zawodu w szkołach prowadzonych przez innych ministrów w skład komisji wchodzi również przedstawiciel właściwych ministrów.

§ 8. Główna Komisja Kwalifikacyjna nadaje trzeci stopień specjalizacji zawodowej na podstawie dokumentów przygotowanych przez zespół specjalistyczny (przedmiotowy) powołany przez przewodniczącą wojewódzkiej komisji kwalifikacyjnej i na podstawie wyniku egzaminu.

§ 9. 1. Egzamin przygotowują zespoły egzaminatorów w składzie 4-8-osobowym powołane przez przewodniczących właściwych komisji kwalifikacyjnych spośród ich członków. Przewodniczący zespołu należy powierzać osobie legitymującej się stopniem naukowym odpowiedniej specjalności.

2. Regulamin pracy komisji i zespołów specjalistycznych (przedmiotowych) oraz zasady przeprowadzania egzaminów określa dyrektor Instytutu.

§ 10. 1. Wniosek o wszczęcie postępowania o przyznanie stopnia specjalizacji zawodowej składa nauczyciel u dyrektora szkoły (placówki) w miesiącu styczniu każdego roku.

W wniosku należy:

- scharakteryzować przebieg pracy w zawodzie nauczycielskim,

- wskazać na osiągnięcia i wyróżnienia w pracy nauczycielskiej,

- Do wniosku należy dołączyć:

- odpisy świadectw lub dyplomów określających poziom wykształcenia,

- odpisy zaświadczeń o ukończonych formach doskonalenia zawodowego,

- inne dokumenty świadczące o osiągnięciach w pracy nauczycielskiej,

- opublikowane książki, odczyty, artykuły itp.

2. Do dokumentów złożonych przez nauczyciela dyrektor szkoły (placówki) dołącza charakterystykę pracy nauczyciela uzgodnioną z właściwym nauczycielem metodykiem (wizytatorem metodykiem).

3. Dokumentację wymienioną w ust. 1 i 2 dyrektor szkoły (placówki) przesyła do właściwego terytorialnie oddziału doskonalenia nauczycieli Instytutu w terminie do dnia 28 lutego każdego roku.

4. Zespół specjalistyczny (przedmiotowy) przeprowadza wizytację zajęć nauczyciela. Termin wizytacji powinien być uzgodniony z nauczycielem. W trakcie wizytacji zespół sporządza protokół, w którym ocenia zajęcia.

5. Zgromadzoną dokumentację wraz z protokołem powizytacyjnym zespół specjalistyczny (przedmiotowy) przekazuje właściwej komisji kwalifikacyjnej.

6. Wojewódzka (międzywojewódzka) komisja kwalifikacyjna lub Główna Komisja Kwalifikacyjna zapoznaje się z dokumentacją nauczyciela i:

a) jeśli nauczyciel spełnił odpowiednie warunki określone w § 2, 3 lub 4, wyznacza termin egzaminu,

b) nie nadaje wnioskowi dalszego biegu, jeśli nauczyciel nie spełnił warunków określonych w pkt a. Komisja kwalifikacyjna zawiadamia niezwłocznie zainteresowanego nauczyciela o podjętej decyzji.

7. W czasie egzaminu komisje kwalifikacyjne ocenia stopień znajomości przez nauczyciela najnowszej literatury specjalistycznej dotyczącej danego przedmiotu, pedagogiki i psychologii.

8. Pozytywny wynik egzaminu jest podstawą do przyznania stopnia specjalizacji zawodowej. W przypadku uzyskania przez nauczyciela oceny negatywnej, komisja odmawia nadania stopnia specjalizacji zawodowej. Decyzje te podawane są do wiadomości zainteresowanego nauczyciela bezpośrednio po zakończeniu egzaminu.

9. Nauczyciel, któremu przyznano stopień specjalizacji zawodowej, otrzymuje odpowiedni dyplom według wzoru stanowiącego załącznik nr 1 lub 2. Odpis dyplomu komisja kwalifikacyjna przesyła organowi bezpośrednio nadzorującemu szkołę, w której nauczyciel jest zatrudniony.

10. Nauczycielowi, który uzyskał stopień specjalizacji zawodowej, przysługują dodatki specjalistyczne, którego wysokość określają odrębne przepisy.

11. Nauczyciel, któremu komisja kwalifikacyjna nie przyznała stopnia specjalizacji zawodowej, może podjąć ponowne starania o uzyskanie stopnia po upływie dwóch lat od daty odmownej decyzji.

12. Instytut opracowuje okresowo zestaw literatury z zakresu wszystkich przedmiotów, znajomość której obowiązywać będzie na egzaminach oraz sporządza wykaz studiów i kursów, ukończenie których daje prawo do ubiegania się o przyznanie odpowiedniego stopnia specjalizacji zawodowej. Materiały te po zaakceptowaniu przez ministra oświaty i wychowania przesyła do wszystkich komisji kwalifikacyjnych i organów nadzorujących szkoły.

13. Główna Komisja Kwalifikacyjna i wojewódzkie (międzywojewódzkie) komisje kwalifikacyjne prowadzą pełną dokumentację z przebiegu postępowania w sprawie przyznawania stopnia specjalizacji zawodowej i przechowują ją w siedzibie Instytutu lub właściwych terytorialnie oddziałach doskonalenia nauczycieli Instytutu.

§ 10. 1. W okresie sześciu lat od daty wejścia w życie niniejszego zarządzenia nauczyciel mający dwunastoletni staż pracy pedagogicznej może ubiegać się o uzyskanie bezpośrednio drugiego, a nauczyciel z osiemnastoletnim stażem pracy — trzeciego stopnia specjalizacji zawodowej, o ile spełnia odpowiednio warunki określone w § 3 lub 4.

2. Zarządzenie nie dotyczy nauczycieli przedmiotów artystycznych zatrudnionych w szkolnictwie artystycznym. Zasady uzyskiwania stopnia specjalizacji zawodowej tych nauczycieli określają odrębne przepisy.

§ 11. Nauczyciele, którzy przeszli do pracy w urzędach organów administracji państwowej, w organizacjach politycznych i społecznych oraz w związkach zawodowych na stanowiska wymagające kwalifikacji pedagogicznych zachowują uzyskany stopień specjalizacji zawodowej.

§ 12. 1. Dodatek specjalistyczny — na podstawie uzyskanego dyplomu — przyznaje organ bezpośrednio nadzorujący szkołę, w której nauczyciel jest zatrudniony.

2. Nauczycielowi może być cofnięty dodatek specjalistyczny w przypadku odpowiednio udokumentowanego stwierdzenia zaniechań w jego pracy zawodowej.

3. Decyzję o cofnięciu dodatku specjalistycznego podejmuje organ bezpośrednio nadzorujący szkołę, w której nauczyciel jest zatrudniony, na podstawie umotywowanego wniosku dyrektora szkoły — po zasięgnięciu opinii rady pedagogicznej i właściwego nauczyciela metodyka (wizytatora metodyka).

4. Nauczycielowi, któremu cofnięto dodatek specjalistyczny, organ bezpośrednio nadzorujący szkołę, w której nauczyciel jest zatrudniony, może przyznać ten dodatek po upływie dwóch lat od daty decyzji o jego cofnięciu — na wniosek dyrektora szkoły — po zasięgnięciu opinii rady pedagogicznej i właściwego nauczyciela metodyka (wizytatora metodyka).

§ 13. 1. W okresie do dnia 31 grudnia 1982 r. Instytut wykona zadania, o których mowa w § 9 ust. 12, a do 31 marca 1983 r. — zadania, o których mowa w § 8 ust. 2.

2. W okresie do dnia 31 marca 1983 r. powołane zostaną komisje kwalifikacyjne oraz zespoły specjalistyczne (przedmiotowe).

§ 14. Z uwzględnieniem przepisów § 13 zarządzenia wchodzi w życie z dniem 1 września 1983 r.

Bolesław Faron
minister oświaty i wychowania

Była moją dyrektorką w Liceum Pedagogicznym. Przyszła do naszej szkoły w latach „biedów i wypaczeń” — także w szkolnictwie. Wiadomo, że pod szczególną obserwacją były wówczas szkoły nauczycielskie. Patrzone i na nas, gdyż w naszej szkole było gremium nauczycieli „przedwójennych”. Jednak dzięki pracy dyrektorki w szkole nastąpiło odprężenie, lżejszy ośrodek. Uznawany był pluralizm światopoglądowy. Zniknął straszak „wroga klasowego”. — Kontrowersji nikt przecież nie uprawiał, ale można było mieć własne zdanie na temat wychowania, nauczania, swoje poglądy moralne i etyczne. W prywatnych rozmowach wolno było różnić się z dyrektorką odnośnie taktyki rządzenia szkołą i nie pociągało to żadnych następstw. Pani Ewa ceniła ludzi szczerych i prawdomównych, dlatego dała się lubić i w szkole na ogół można było w tych ciężkich czasach jakoś egzystować; zwłaszcza że była zamiłowanym pedagogiem i naprawdę zależało jej na wychowaniu dobrych nauczycieli, zamiłowanych w swoim zawodzie.

Walczyła jak lew o utrzymanie liceum pedagogicznego jako najlepszej i jedynej szkoły zdolnej przygotować dobrych nauczycieli dla klas I-IV szkoły podstawowej. Okazało się później, że jej walka, choć przegrana, była więcej niż słuszna... Małe dzieci straciły — może raz na zawsze — swoich dobrych, prawdziwych nauczycieli.

Po zamknięciu naszej szkoły widywałyśmy się okazynie, także w okresie 9 lat jej pobytu w Szwecji, dokąd wyjechała z przyczyn rodzinnych i gdzie w porozumieniu z naszym ministerstwem oświaty podjęła bardzo trudną i odpowiedzialną pracę jako nauczyciel polskich dzieci w szkołach sztokholmskich. Jej praca była pożyteczna, wykonywała ją z zapałem i temperamentem, jak zawsze. Według opinii władz szwedzkich i polskich wypełniała wzięte na siebie obowiązki w sposób doskonały.

Cytuję dla przykładu urywki opinii pani Ingermara Persona ze Sztokholmu... „wykazała ona nadzwyczajną pracę przy intensywnym osobistym zaangażowaniu, wykazała troskę o każdego poszczególnego ucznia... starała się zawsze w swojej pracy dać polskiemu uczniom możliwość zachowania języka ojczystego oraz poczucie ojczystej kultury i tradycji”.

Podobnie wyrażał się Polski Urząd Konsularny w Sztokholmie „... Pani Ney znana jest dobrze urzędowi ze swej pozytywnej działalności na tutejszym terenie na rzecz kraju... Z jej inicjatywy został opracowany program nauczania w systemie szkolnictwa języka polskiego, bazowany na materiałach zatwierdzonych przez nasze Ministerstwo Oświaty i Wychowania. Uzyskał (on) pełną akceptację szwedzkich władz oświatowych i został wprowadzony w życie na teren Szwecji”.

Na emeryturę wróciła pani Ewa do Polski i opiekowała się swoim małym wnukiem, pomagając w ten sposób pracującej córce. Uprawiała też z zamiłowaniem działalność gdzieś w Warszawie, dokąd zapraszała byłe koleżanki. Nie zdążyłam dojechać, gdyż najstraszniejsza choroba naszych czasów niespodziewanie przerwała wartościowe, pracowite życie.

KAMILA JEDLEWSKA

PORADNIA LOGOPEDYCZNA

W Podyplomowym Studium Logopedycznym UW czynna jest telefoniczna poradnia „Usuwania Wad Wymowy”.

W sprawach rozwoju mowy dzieci, wad wymowy, terapii jękania itp. należy dzwonić w poniedziałki od godziny 13 do 16, tel. 26-60-67, z wyjątkiem ferii letnich, tj. od 1 lipca do 30 września.

Poradnia służy radą rodzicom, młodzieży, pedagogom, a także logopedom szukającym możliwości koleżeńskich konsultacji.

Wszystkim zainteresowanym radzimy skorzystać z tej szansy.



TYGODNIK
ODZNACZONY
ZŁOTĄ
ODZNAKĄ
ZNP

Redaguje zespół: Danuta Chrzczonowicz (sekretarz redakcji), Teresa Konarska (kierownik działu), Walentyna Łapińska (redaktor techniczny), Zenobia Miller (kierownik działu), Zbigniew Pawłowski (redaktor naczelny), Krystyna Rogalska (kierownik działu), Maria Rybarczyk (zastępca redaktora naczelnego), Witold Salański, Wojciech Sierakowski, Halina Szymczak, Janusz Trzcianka (kierownik działu), Henryka Witalewska (kierownik działu), Edyta Nowak, Jan Rocki (redaktorzy graficzni), Kierownik administracyjny — Aneta Pawlak, korekta — Irena Kościelniak, Magdalena Paprzycka. Adres redakcji: ul. Spasowskiego 6/8 00-339 Warszawa, Telefon: 26-10-11, 26-34-20, 27-66-30.

Ogłoszenia przyjmuje: Wydawnictwo Współczesne RSW „Prasa-Książka-Ruch” 00-490 Warszawa, ul. Wilejska 12, Dział Wydawniczy, tel. 28-24-11 wewn. 195. Cena ogłoszeń: urzędowych 95 zł za 1 cm², drobnych 30 zł za 1 wyraz (rabat 50 proc. od ogłoszeń dotyczących poszukiwania pracy). Za przyjmowanie i wydawanie ofert pobiera się opłatę dodatkową w wysokości 50 zł.

Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch”, ul. Nowogrodzka 84/86 02-017 Warszawa. Nakład 70 000 egz. 2-83

SZACH KRÓLOWI

W konkursie drabinkowym po 7 seriach (42 zadania) pierwsze miejsce i nagrodę w postaci bonu PKO o wartości 500 zł. zdobyła Helena Pionka z Lipnika. Serdecznie gratulujemy!

Nagrodę wysyłamy pocztą, prosimy o potwierdzenie odbioru. Kolejne miejsca według ilości zdobytych punktów zajmują:

M. Pazur (140 pkt.), I. Sagan (134 pkt.), T. Pionka (110 pkt.), A. Pionka (108 pkt.), W. Molendzki (93 pkt.), T. Szeruga (92 pkt.), M. Węgrzyński (91 pkt.), M. Męciak (90 pkt.), Zb. Buł...

biak 88 pkt.), St. Padula, M. Skowronek (78 pkt.), L. Szarek (76 pkt.), Fr. Gredel (73 pkt.), B. Przybylski (71 pkt.), Zb. Tobolski (67 pkt.), S. Łączkowski, M. Mizielski (66 pkt.).

Z. Kozłowski (58 pkt.), M. Jakubiak, A. Jakubiak (51 pkt.), St. Raś (49 pkt.), J. Zawisłak (48 pkt.), A. Sagan (41 pkt.), I. Michna (38 pkt.), W. Brzozowski, J. Osiej (36 pkt.), Ed. Kopeć (35 pkt.), Wł. Pazur (33 pkt.), J. Zmorzyński (32 pkt.), T. Kędzior (31 pkt.), Z. Pionka, Cz. Wołyniec (30 pkt.), A. Gburek (29 pkt.), J. Czajalski, E. Czapańska (28 pkt.), Si. Piliński (26 pkt.), St. Koss (24 pkt.), Zb. Mazur (21 pkt.), I. Ewert, J. Łoziński, R. Nowosad, P. Pietraszkiewicz, T. Rodacka (19 pkt.), J. Foniok, Ed. Józwicki, J. Koźmider, K. Łuczynska, J. Prystrom, L. Zega (17 pkt.), St. Binasiewicz, A. Górecka, J. Krupniński (16 pkt.), Cz. Bitow, D. Cyris, M. Francus, J. Hellosz, M. Motyl, A. Szyler, T. Zięba (14 pkt.), J. Bagler, J. Gawronek, Zdz. Komorniczak, I. Kolman, Zb. Łukaszewski, T. Mejnert, J. Oleszak, M. Pionka, J. Świąderczyk, M...

Szymański, M. Skowronek, J. Smetana, Z. Tkacz (11 pkt.).

8. Grzeleczak (10 pkt.), St. Kesoń, G. Ober, St. Wzros (9 pkt.), R. Glowienko, T. Groblewski, A. Kędzior, R. Khejczuk (8 pkt.), M. Domoś, St. Graczyk, H. Getek, M. Kacorzyc, T. Krystians, Z. Lendzion, S. Loskokozyski, T. Meroń, Z. Mizielka, E. Paśnikowski, J. Pajdosz, Zb. Sawka, J. Siodlak, St. Sienkiewicz, E. Tobiński, S. Wojewódka, J. Walczak, M. Goździiewicz (6 pkt.), R. Jarłowicki, T. Lagan, A. Owsiński, J. Pazur, W. Rudak, J. Ryski, P. Świątek, M. Siedlecka, A. Tyczkowska, J. Wielgus (5 pkt.).

J. Cieślak, T. Dabrowski, St. Grzegorzewski, J. Mutniczak, R. Izdebski, R. Łazowski, T. Marzalek, K. Mika, Zb. Obrzeźgiewicz, H. Papuziński, J. Panecki, B. Rączka, St. Świerczyński, D. Sawka, J. Stachowiak, Z. Szcześniak, M. Stefański, J. Szymański, G. Złuc, A. Wodna, Zb. Wawrowski, Ed. Wiścok (3 pkt.), K. Czernawska, M. Dera, R. Jędrzejczyk, Zb. Lepczyński, B. Muras, J. Moryc, M. Pawłowski, J. Reguś, W. Wrona (0 pkt.).

TROSKI PO BITWIE

We wrześniu 1683 roku, po swoim wie-
deńskim zwycięstwie, Sobieski wysłał do
Marii Kazimierzy aż sześć listów!

Trzy kolejne — w dniach 17, 18 i 19
września. Pierwszy z nich bardzo obszerny,
zawierający opis spotkania z cesarzem
Leopoldem. Trzy listy, a tak na dobre —
to dopiero dwa dni drogi powrotnej wojsk
polskich i część sprzymierzonych spod
Wiednia w stronę Bratysławy.

Sobieski kieruje ruchami wielkiej ar-
mii, zamartwia się o jej złe zaopatrzenie,
utrzymuje — jakże już niki — „polowe”
stosunki dyplomatyczne z różnymi osob-
istościami i pisze dzień w dzień, bo kwe-
stia wysłania listu do Marysieńki to
dla niego... być albo nie być. Narzeka przy
tym, że od samego Raciborza książki w rę-
ku nie miał, że brak mu lektur w czasie
tej wyprawy. Wó moja panno (!) wiesz,
jako rad czytam...”

Przyfrontowe listy Jana Sobieskiego
Odkwiciła się w nich naprawdę wszy-
stko, co pomyśliła ta wspaniała głowa, co
dostrzeże jakże bystre oko. Wszystko, co
przeżyje zatroskany o swych ludzi wlad-
ca i tęskniący „do miłej” mąż.

Wydaje się, że Sobieski pisał tak, jak
później malował Canaletto, przedstawiając
rozległy fragment świata z drobniawą
wiernością szczegółów.

Nie czułościowy, ale po meksku wrażli-
wy na każdą ludzką czy zwierzęcą niedolę
król trapił się, że jego „współtowarzysze
broni chorują „na dezynтеріę i gorączki:
nie z fruktów pewnie, bo tu ich nie masz,
ale z srogiego nieczystości, z niedjedzenia
i z srogich gorączek, i że tylko picie
prawie pięć albo sześć dni żyli, mało sy-
piając, i to chyba na ziemi a pod niebem”.

Autor listów współczuje wciąż koniom,
że głodne, bo wokół wypalona ziemia. 54-
letni mężczyzna ciekawy jest przy tym
świata jak młodzieniec... „Szedłem sam przy
przedniej straży; skąd obaczysz na do-
le wielki zamek nie zepsowany, pytałem,
co za zamek. Powiedziano mi, że to ten,
gdzie łwy chowają; jechałem tam wtedy...”

Zmiaszt na łwy, ustrajli król na bronią-
cych się rozpaczkliwie janczarów, a gdy et
na słowo królewskie opuścili warowną
wieżę, Sobieski znalazł jednak w zaka-
markach zamku jakąś samotną łwicę, bar-
dzo zresztą zgłodniałą i... nakarmił ją.

Gorzkie były te pierwsze dni po „wikto-
rii”, bo zewsząd dawała o sobie znać czar-
na niewdzięczność. Zaczęło się zaś od spot-
kania z cesarzem Leopoldem w Schwet-
chat pod Wiedniem, 15 września. Monarcha
austriacki znajdował się poza oblężeniem,
a przybył z Linzu przez Krems do Wied-
nia w dwa dni po zwycięstwie Jana III
i wyraźnie poczuł się dotknięty żarliwym
entuzjazmem, z jakim tu witano polskiego
władcę. Nie spieszył się więc na spotkanie
z Sobieskim. Ten zaś odczuł niechęć cesa-
rza i postanowił wracać, nie ujrzawszy
swego sprzymierzeńca, ograniczając się do
wymiany pozdrowień i podarków „na od-
ległość”. W ostatniej jednak chwili, ujęty
namowami wysłannika Leopolda, proponu-
je następujący „protokół spotkania”, któ-
ry uczyniłby zadość dobrym obyczajom,
a jednocześnie nie narażał na szwank
godności żadnej ze stron:

„Dalem mu tedy sposób — zwierza się
w liście do żony z 17 września — że się ja
tego dnia z wojskiem ruszę; skoro tedy
cesarz zbliżał się będzie, wyjadę do wojs-
ka ku niemu i przywitamy się na koniach
i staniemy przeciwko sobie, on między
elektorami, a ja między swoimi sznmem,
senatorami i hetmanami. Przyjeżdżę tedy ten
sposób z wielką ochotą i tak się stało”.

Przewidziano więc niemal wszystko
z wyjątkiem... grubiaństwa Leopolda. Z ra-
zu co prawda cała uroczystość miała prze-
bieg poprawny. „Przyniatalimy się tedy
dosyć ludzko; uczyniłem mu komplement
kilka słów po łacinie; on tymże odpo-
wiedział językiem, dosyć dobrymi sło-
wami”.

Gdy jednak Sobieski przedstawił cesa-
rzowi swego syna, Jakuba, który się mo-
narsze wdzięcznie pokłonił, Leopold nie
stępnął nawet ręką do kapelusza. „Na co

ja patrzę ledwom nie zdrętwiał” — wy-
smaje jakoby zdławionym szeptem ojciec.
Potem wydarzenia potoczyły się szybko.
Cesarz nie uklonił się także polskiemu sena-
torom i hetmanom, wobec czego król po-
tęgnął go z konia wzięcej niż chłodno, choć
z zachowaniem etykiety, a następnie „ob-
rucił się i w swą pojechał drogę”.

Nie konie na tym. „Jego zaś [cesarza]
p. wojewoda ruski poprowadził do wojska
[polskiego], bo sobie tego życzył; i widział
wojsko nasze, które okrutnie było żalowane
i głośno narzekało, że im przynajmniej
kapeluszem tak wielkiej ich pracy i stra-
ty nie nagrodzono”.

Afront cesarski był sygnałem do ogólnej
zmiany nastrojów i zachowania sprzymie-
rzeńców. Gdzieś się zapodziali łącznicy
i dyplomaci, co gorsza — zaczęło nie do-
trzymywać sojusznicznych umów, zaniedbu-
jąc dostaw żywności i pasz, szykanując
króla i jego wojska w rzeczach drobnych,
ważnych i bardzo ważnych.

„Chorzy nasi na gnojach leżą i niebo-
żęta postrzeleni, których bardzo siła, a ja
na nich uprosiłem nie mogę szkalować jednej
[łodzi]. Ciało zmarłych na tej wojnie (...)
w kościołach w mieście chować nie chcą,
pokazując pole (...) Wozy nam rabują, ko-
nie gwałtem biorą. Rajtarów moich kilku
odarli z płaszczów, na których cyfry moje
były (...) Stoimy tu nad tymi brzegami du-
najskimi, jako kiedyś lud izraelski nad ba-
bilońską wodą, płacząc nad końmi naszymi,
nad niewdzięcznością tak nigdy niestycha-
ną...”

Sobieski oczekuje teraz tylko przeprosiny
przez Dunaj i tego, by jak najprędzej
„w kraj nieprzyjacielski wnieść, gdzie po-
żywienia dosyć”.

Przejmująca staje się w końcu lektura
tego listu, pisanego „w obozie pod wsią
Szenu, mil trzy od Wiednia”:

„A cóż po tej wiktoria (...) Jesteśmy teraz
tu właśnie jako zapowietrzony, nikt się do
nas nie pokaże (...) Wiemy, że Ojciec św.
daje, że i srebro kościelnych nie żaluje, że
i prywatni ludzie składają wielkie sumy
— a na cóż się to jeździe? Zależnie nam
tylko wzdychać przychodzi, patrząc na
głnące wojsko nasze nie od nieprzyjaciela,
ale od największych przyjaciół naszych”.

Od tego Marysieńka, żeby powie-
dzieć jej w tym liście wszystko, ale od tego
Sobieski jest królem, żeby w kraju nie
szerzono przesadnie czarnych wieści. W
pewnej chwili zmienia się ton listu. Jan

III poleca matłonez, by podawała do
publicznej wiadomości całą prawdę, ale
z umiarem:

„A to trzymając się starego wierszyka
Kochanowskiego:

«Nieżle czasem zamilczed, eo czlowieka
boli,

By nie rzeki nieprzyjacieli, że cię mam
po woli».

Królowa ma zatem przestrzegać nastę-
pujących reguł informacji:

„To tylko pisać, że komisarze cesarscy
zawiedli wojska w prowiantach (...) że mo-
stu nie masz, że król w przedzie; że jego
leksza kawaleria w tropy idzie w nieprzy-
jaciela; że kieby nie to spustoszenie tak
wielkie kraju, noga by ich nie uszła; że
król ustanowienie posyła do cesarza, aby
co prędzej w nieprzyjacielską wchodzić
ziemię”.

Surowo, krótko i wyraźnie. O kwestie
państwowe chodzi.

★

„Sprawa z kapeluszem” rozszła się jed-
nak szeroko i gdzieś tam trwała w świa-
domości naszego społeczeństwa przez
wieki. Mówi o niej nawet pan Teoś Piecyk,
„wykładowca historii ojczyznej” w felie-
tonach Wiecha. Z tym oczywiście, że w glo-
wie „warszawskiego rodaka” nie mogła
nawet powstać myśl, iż w doniosłej chwili
autorytet króla — zwycięzcy miałby ucier-
pieć. Sobieski cesarza „przerobił” i krop-
ka. A całe wydarzenie tak musiało wyglą-
dać:

„Z jednej strony Sobieski zapycha na
tureckim ogierze, a z drugiej cesarz Leo-
pold w damskim kapeluszu z razerami na
dorożkarskim koniu, bo lepsze sztuki Turki
mu zabrali. Podjeżdżają do siebie i żaden
nie ma życzenia pierwszy się uklonić. So-
bieski — faktycznie, jakim prawem? A ce-
sarz, bo kawal drania.

Byliby już przejechali kolo siebie jak
dwa nieznanome osobnicy, ale Sobieski
myśli sobie: „Czekaj, lebiego niewidymko,
ja cie przerobie”. Podnosi rękę w óbrę,
szkop myślał, że król sie kłania, ściana
żywo kapelusze ze łba, aż pióro zlamal.
A Sobieski mówi:

„A książkie z grochem” — i podkreca
staropolskiego wasa”.

No, to Czytelnik ma teraz dwie relacje
do wyboru: Sobieskiego i pana Teośa Pie-
cyka. Z tym, że pod Wiedniem był tylko
jeden z nich.

WYSTAWY

SZTUKA PAŹDZIERNIKA

Była bogata i różnorodna. Bu-
dziła nadzieję na zrewolucjoni-
zowanie sztuki w ogóle, nie tylko
w Rosji. Zwłaszcza teatr i poezja
tego okresu do dziś zachowały
świeżość pomysłów i oryginal-
ność koncepcji. Ale również sztuki
plastyczne podlegały wówczas
radikalnym przeobrażeniom. Za-
stanawiano się: jak ma w Rosji
radzieckiej wyglądać sztuka przy-
szłości? Z myślą o kim należy ją
tworzyć? Próbę odpowiedzi na te
pytania przyniesie w pewnym
sensie cykl ekspozycji prezentu-
jący sztukę radziecką. Został on
zainaugurowany w Warszawskiej
„Zachęcie” wystawą zatytułowa-
ną „Sztuka okresu Października
1917—1930”.

Wystawa gromadzi prace z sa-
kresu malarstwa, rzeźby, grafiki
artystycznej i użytkowej, trochę
wyrobów porcelanowych oraz
projektów tkanin.

Tematem najchętniej podejmo-
wanym przez twórców tego okre-
su (jeśli uznać reprezentatywność
wystawy w stosunku do rzeczy-
wistych działań podejmowanych
przez plastyków radzieckich w
tym okresie) — jest człowiek
pracy i jego trud. Dlatego też do-
minującą formę stanowi portret,
np.: „Dziewczyna” Archipowa,
„Chłop w kaszkiecie” Gierasime-
wa, „Komsomolki” Juona. Pro-
stota tych prac, operowanie ży-
wymi, ciepłymi barwami — nada-
ją postaciom soczystości i swoi-
stej radości życia.

W serii, którą nazwałabym
„Ludzie i ich praca”, mamy do
czynienia zarówno z obrazem i
grafiką kameralną w wyrazie, za-

interesowaną głównie samym
człowiekiem („Prasowaczka” Sze-
wczenki, „Sianokosy” Pachomo-
wa, „Tytoniarki” Kuzniecowa),
jak i z pracami monumentalizują-
cymi trud człowieka. „Walcownia
w fabryce Sierp i Młot” Roździe-
stwińskiego z 1930 roku może
być natomiast przykładem innego
potraktowania tematu. Wielka
hala fabryczna ze skomplikowa-
ną konstrukcją maszyn i urzą-
dzeń przytłacza swoim ogromem
robotników w niej pracujących.
Maszyna staje się jakby samo-
dzielny temat obrazu. Sądzę,
że w ocenie dzisiejszego odbior-
cy malarstwo tego typu ma przede
wszystkim wartość historycz-
ną.

Hołdem złożonym technice są
również dwa obrazy Labasa: „Po-
ciąg jadzie” oraz „Sterowiec i
dom dziecka”. Malowane są one
jednak zupełnie inaczej niż obraz
Roździestwińskiego. Operując pa-
stelowymi barwami, jasnym be-
żem i różowociami, malarz uzy-
skał efekt odrealnienia przedsta-
wianych sytuacji, a dzięki temu
ustrzegł się natrętnego dydaktyz-
mu.

Z obrazami realistycznymi e-
stro kontrastują abstrakcyjne
kompozycje malarskie Kandin-
skiego: „Niebieski grzebień” i
„Kompozycja”, powstałe w latach
1917—1919, a więc jeszcze kilka
lat przed wyjazdem ich autora za
granicę. Oprócz prac Kandinskie-
go, także „Kubizm” Lebediewa
i kubistyczno-futurystyczny obraz
Popowej — „Siedząca natura”,
dowodzą, że plastyka radziecka
okresu 1917—1930 nawiązywała

również do najnowszych kierun-
ków sztuki europejskiej.

Inny cykl obrazów prezento-
wanych na wystawie to martwe
natury, urzekające interesującą,
utrzymaną w ciemnych tonach
kolorystyką, ciekawym doбором
przedmiotów i ich kompozycją.
Np.: „Martwa natura z literami
i dzbankiem” Puniego, „Martwa
natura z kapeluszem” Wasniecowa,
„Martwa natura z samowarem”
Maszkowa.

Obrazy Pietrow-Wodkina —
„Śmierć komisarza”, Kustodjewa
— „Demonstracja na Pl. Urickie-
go”, Czepcowa — „Przeprowadza-
nie kooperacji na wsi”, odwołują
się bezpośrednio do historycz-
nych faktów z dziejów radzieckiej
rewolucji.

Tendencje te widoczne są rów-
nież w eksponowanych na wysta-
wie przedmiotach codziennego u-
żytku, wykonanych najczęściej z
porcelany, a także w projektach
tkanin, których próbkę można e-
glądać w gablotach.

Patos przebudowy świata o-
garnął wówczas twórców niemal
wszystkich dziedzin sztuki. W e-
kresie Października na pierwszy
plan wysunęła się sztuka, która
odpowiadała na potrzeby chwili,
na aktualne zadania stawiane
przed młodym państwem. Z tego
powodu szczególnego znaczenia
nabrał plakat, okolicznościowa
dekoracja miast, sztuka agitacyj-
na. Szkoda, że na wystawie w
„Zachęcie” jest ona reprezento-
wana zaledwie kilkoma pozycja-
mi.

BOŻENA NIEDZIULKA



Jedna z ciekawszych prac — J. Wasniecow: „Martwa natura z kapeluszem”.
Fot. E. Ciolek

RECENZJE

DROGA DO ŚLAWY

Pojawiła się książka godna szczególnej wra-
gi, a poświęcona człowieczemu fenomenowi, ja-
kim niewątpliwie był geniusz twórcy Ignacego
Paderewskiego”.

Zdumiewa, a zarazem uznanie i szacunek bu-
dzi ogrom pracy włożonej dla utrwalenia wie-
dzy o życiu, działaniu, twórczości mistrza. An-
drzej Fibera nie szczędził trudu, by przekazać
czytelnikowi w sposób jasny, przekonujący
a zarazem atrakcyjny to wszystko, co jest god-
ne upamiętnienia o wielkim czarodzieju forte-
pianu, jak go wielu recenzentów nazywało.

Wszystko w tej książce jest na miarę gigan-
ta: 2394 przypisów, 12 — przez wstęp — roz-
działów, 138 podrzdziółów, 684 nazw miejscow-
wości, które w jakiś sposób były związane z
Paderewskim. Zwroćmy uwagę i na to, że książ-
ka „Droga do sławy” obejmuje tylko 42 lata niez-
wykle intensywnego życia wirtuoza. W ostat-
niej dziesiątce XIX wieku Paderewski był e-

szczęśliwym, był rozrywany, huczał, huczał,
spotykał się wszędzie z bezgranicznym en-
tuzjazmem słuchaczy z najrozmaitszych sfer —
od biedoty i mizeroty począwszy, a na korono-
wanych głowach skończywszy.

Stwierdzić należy bez najmniejszej przesady,
że wszystko w tym wolumenie jest niezwykle
starannie i dokładnie udokumentowane. Autor
przytacza teksty ogromnej ilości listów, re-
cenzji, rozmaitych artykułów w prasie najroz-
maitszego rodzaju i autoramentu. Dzięki temu
obraz niezwyklej kariery mistrza rysuje się jas-
no, wyraziście i atrakcyjnie. Czytelnik pochlania
mnóstwo rewelacji, wiadomości o najroz-
maitszych szczegółach życia uwielbianego przez
cały świat wirtuoza. Przy tym godne podkreśle-
nia jest i to, że nie ma mowy o jakiejś nie-
dyskretności w wykorzystaniu materiału, zadowo-
leniu zwolenników takiej sensacji szukających
rozrywki, choćby kosztem czyjejś dobrej sta-
wy. Czytamy więc o niezwykle ciężkiej pracy
Paderewskiego, o jego pełnym samozaparcu w
okresach, gdy godzinami ćwiczył nawet w po-
ciągu, gdy niedzielnymi przedmierzal obzrytym
terenem Ameryki, Australii, Europy za swoimi
zadaniem, jakim niewątpliwie było upowszech-
nienie muzyki Chopina, muzyki Polski, która
mimo niewoli była w swych geniuszach.

Lektura książki Fibera porwała nam wirtuo-
zale w pamięć osobowość wirtuoza, jego niez-
wykłość, pod wieloma względami jego nieo-
dzielność. Nie jest to przy tym jakiś demo-
derwany od życia. Czytamy więc o jego powo-
dzeniu u kobiet, o jego dwu małżeństwach; je-
go umiłowanym synu Alfreddie, który umiera
w 21 roku życia.

Nieblahie miejsce zajmują w książce informa-
cje o niebagatelnych zarobkach mistrza, o jego
hojnej szerokości, którą wspierał rozmaite im-
prezy, takie jak „Dramatyczny konkurs Pade-
rewskiego”, „Muzyczny konkurs Paderewskie-
go”, pomnik Chopina w Żelazowej Woli, Liszta
w Weimarze, pomoc przy budowie sanatorium
w Zakopanem itd. itd., nie mówiąc już o hoj-
nym wspieraniu biedoty.

Wiele miejsca poświęca autor, swiaszcza w
początkowych partiach tomu, kompozytorskiej
twórczości Paderewskiego. Nawet jeden roz-
dział (II) poświęcony jest problemowi: Pade-
rewski „kompozytor czy pianista?”. W świadom-
ości przedjętego miłośnika muzyki (a ta-
kich jest najwięcej) Paderewski istnieje przede
wszystkim jako wirtuoz, jako cudowny odwór-
ca arcydzieł muzycznych. I tak już chyba po-
stanie. Wprawdzie wiele czytamy o kompo-
zycjach mistrza, a ostatni rozdział (XII) po-
święcony jest w salość (59 stron) oparciu „Man-

ra”, to jednak w przeważającej mierze ogrom-
ny tom Fibera poświęcony jest Paderewskiemu
— pianiste, idolowi niezliczonych tłumów,
wielbiących jego geniusz.

Dla słownej ilustracji tego zafascynowania
muzyką mistrza przytoczmy nieduże fragmen-
ty recenzji czy zapisanych uwag: „My młodzi
dawcześni studenci Uniwersytetu Jagiellońskie-
go — czytamy na stronie 175 — Tejmajer, Ry-
del, Koesick, Ehrenberg, Wyspiański (...) stali-
śmy wstuchani w tę czarowną melodię, która
budził do życia Paderewski, uskrzydlał swoim
duchem i jak napowietrzne wielkie zagłowie
puszczał w niedoścignioną przestrzeń. Nie grał
na fortepianie, grał na strunach dusz naszych”
(W Gaiłcji jesienną 1889 roku).

Tom Andrzeja Fibera „Droga do sławy” za-
wiera fascynujący tekst prezentujący nam na —
powtórzmy — 675 stronach losy geniusza, który
dzieł niezwyklej wprost pracowitości, szla-
chetności, prostolinijności i zdedygowaniu, a
przede wszystkim talentowi, wszedł do panteo-
nu polskich wielkości na miarę światową.

PAWEŁ BAGIŃSKI

Andrzej Fibera: Droga do sławy. Ignacy Pa-
derewski w latach 1860—1902. Warszawa 1962.
stron 672.